MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 41 WARSZAWA, 4 PAZDZIERNIKA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

LENIN OMYLIŁ SIĘ

GDY wojna domowa zawrzała w Hiszpanii, przypomniano sobie, że mistrz światowego przewrotu, Lenin, przepowiadał, iż kraj ten będzie, po Rosji, drugim z kolei, w którym zapanuje komunizm.

W myśl poglądów i nadziei swego bożyszcza, międzynarodówka komunistyczna wysilała się przez szereg lat, żeby rozstrój polityczny i społeczny Hiszpanii doprowadzić do tego stopnia by w niej powstał „klimat", sprzyjający przewrotowi bolszewickiemu. Już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że tam od dawna agenci moskiewscy, wyzyskując miejscowe antagonizmy partyjne i społeczne, szczuli jednych na drugich, wszczepiali w masy proletarjatu ducha buntu oraz zemsty klasowej, i uczyli go swoich, klasycznych, metod walki już nietylko z ustrojem „burżuazyjno-kapitalistycznym", lecz z całością życia państwowego i narodowego, sprzeczną z ideałem komunizmu międzynarodowego.

Ich propaganda i nauka, jak obecnie widzimy, wydały w Hiszpanii tego rodzaju owoce, że pod niejednym względem nawet rewolucja rosyjska nie zawsze mogłaby się poszczycić podobnemi.

Inteligencję — *comme de raison* — gdzie się dało, wytrzebiono jakby jakieś szkodliwe zielsko. Nie oszczędzono nawet tych jej przedstawicieli co, że tak się wyrażę, byli bezwinnymi członkami ustroju „kapitalistycznego", a natomiast stanowili zaszczyt i chwałę Hiszpanii bezklasowej, wiecznej.

Tak więc zginął wielki malarz, Ignazio Zuloga, i znakomity dramaturg, Giacinto Benewente; dalej świetny pisarz i myśliciel, Gassety Orthega, i dziesiątki innych, mniej głośnych w świecie.

Biskupów, księży i zakonników zabijano, niczem zwierzęta ubojne, jak komu się podobało; zakonnice gwałcono, kobiety z „arystokracji", burżuazji i ludu poddawano sadystycznym urągowiskom i mordowano, bez względu na wiek i stan w jakim się znajdowały.

Klasztory i kościoły, z bezcennemi skarbami sztuki, palono jak słomę, i w ten prosty sposób— jak się wyraził jeden z wodzów anarchistów barcelońskich — rozwiązywano... zagadnienie religijne. Siedziby nie należących do „Frontu ludowego" rabowano i niszczono, także jak to komu było potrzebne, zgodnie z własną, komunistyczną fantazją.

Już niema co mówić o masowych egzekucjach przeciwników politycznych, „wrogów Republiki", nie pomijając zresztą jej przyjaciół, wśród zamordowanych bowiem sporo znalazło się tych, co byli jej wyznawcami przez całe życie i walczyli o nią z wiarą i bezinteresownie. (Dość tu wspomnieć o zamordowanych w więzieniu madryckiem, o takich jak Melquiades Alvarez, b. prezes Kortezów, jak José Martinez de Valasco, b. minister spraw zagranicznych, Natalio Rivas, b. minister i wielu wielu innych).

Oczywiście majątki obszarników skonfiskowano, fabryki zsowietyzowano, banki złupiono (wywożąc złoto do Paryża i t. p.), przytem nie robiono ceremonii z własnością obcych obywateli. Wreszcie, dla wzmożenia grozy rewolucyjnej i zwiększenia rozmachu komunistycznego, brano zakładników i wypuszczano z więzień kryminalistów, a wszelkiemu innemu motłochowi włożono broń do ręki, by nasycił swą żądzę zemsty i mordu. Wszystko słowem odbywało się — i odbywa— gdzie była po temu możność, tak jak to nakazują czynić wypróbowane metody i „technika" przewrotów komunistycznych. Wszystko zakrojone zostało na wzór macierzystej rewolucji rosyjskiej, z dodatkiem tylko, być może, większej furii niszczycielskiej, większego szału krwiożerczego niż tam, co należy przypisać innym właściwościom rasowym, oraz specyficznym stosunkom pomiędzy różnemi grupami społecznemi, a nawet osobami prywatnemi.

Wiadomo bowiem, jak to niegdyś zauważył

J. Lemaitre, że „wojna domowa najwięcej dostarcza przyjemności, gdyż tu ludzie dobrze znają się pomiędzy sobą“...

W ten więc sposób: ogniem i mieczem, terrorem i okrucieństwem wściekłem, utwierdzałaby się i rozpowszechniała rewolucja komunistyczna w tym drugim „obiecanym” kraju, szłaby niepowstrzymanie jak pożar stepów, aż doszłaby do swego celu, gdyby nie to, że Hiszpania to nie Rosja!

Wskazując na Hiszpanię jako na kraj, który w niedalekiej przyszłości dojrzeje, by pójść śladadami Rosji sowieckiej, Lenin przewidywania swoje opierał na podobieństwie stosunków i konfliktów społecznych w obu wypadkach, nie uwzględnił wszakże różnic, zlekceważył, a może źle odczuwał, te wielkie wartości duchowe, co w Hiszpanii odwiecznie były czynne i odzywały się żywo w duszy narodu, w Rosji zaś nigdy nie były głębiej w niej ugruntowane.

Jego umysł monoideistyczny, jego wyobraźnia doktrynerska — dojrzały w Hiszpanii tylko to, co sprzyjało zwekslowaniu jej życia zbiorowego na tory komunizmu, pominęły zaś to, co mogło mu się skutecznie przeciwstawić i narazić na niepowodzenie. Lenin zanadto utożsamił Hiszpanię z Rosją — i tu grubo się pomylił.

W Rosji, wszczynając komunistyczny podbój społeczeństwa, można było nie liczyć się z ideą Ojczyzny, z poczuciem obowiązku patriotycznego, z przywiązaniem istotnem sfer kierowniczych oraz mas do wiary przodków, do tego wszystkiego, co było dorobkiem duchowym narodu, w czem się, po przez wieki, wyrażała jego istota moralna. W Rosji, zwłaszcza w okresie jej rozkładu powojennego, nie było komu reprezentować i bronić tego wszystkiego z wiarą, z przeświadczeniem iż bez tych dóbr naród, jako osoba moralna, przestaje istnieć i schodzi na poziom hordy pierwotnej.

„Bolszewizm“ — utrzymuje znany filozof, Bierdiajew, w swem „Nowem Średniowieczu” — „całkowicie odpowiada duchowemu stanowi narodu rosyjskiego i wyraża zewnętrznie rozkład duchowy, odstępstwo od wiary, kryzys religijny i głęboką demoralizację“. A dalej: „sowiecka władza okazała się jedyną możliwą władzą w Rosji w chwili rozkładu wojny której naród nie miał siły znieść; w chwili duchowego upadku i ekonomicznego rozbicia — w chwili osłabienia podstaw moralnych. I można powiedzieć, że władza ta okazała się narodową, jednakże w bardzo niepochlebnem znaczeniu tego słowa“ (str. 165).

Bolszewizm słowem był ciężką chorobą duchową narodu rosyjskiego; chorobą na którą w chwili jej objawienia się nikt nie miał lekarstwa. Chorobę ducha zwalczyć można tylko duchem, tymczasem ci, co ją w Rosji usiłowali zwalczać, sami żyli długo jego negacją. Opierający się w Rosji rewolucji komunistycznej byli bezbronni, w gruncie rzeczy, gdyż nie posiadali żadnej wielkiej idei, mogącej być przeciwwagą idei komunistycznej.

Nie było tam wiary w Boga, ani bezwzględnej miłości Ojczyzny, ani idei honoru narodowego, ani przywiązania żywotnego do takich lub innych tradycyj wspólnego bytu narodowego. Zbawiano tam własny kraj bez idei oraz uczuć tego rodzaju, w sumie — bez Boga.

Inaczej w Hiszpanii — wręcz przeciwnie niż w Rosji. I dlatego tam, duchowi międzynarodowemu wnet z równą, jeśli nie większą, mocą, przeciwstawił się duch narodowy—przeciwstawił się wyraźnie, gdy zło przebrało miarę. Tu w obronie zagrożonej ojczyzny, w obronie jej dóbr duchowych, jej kultury i cywilizacji, wogóle niezależności jej bytu, stanęła ogromna, rzec można: przeważna część społeczeństwa, wszelkie jego siły pozytywne, bez różnicy stanu, a wśród nich wojsko — siła najbardziej odpowiedzialna za jego całość i nietykalność, skądkolwiek bądź pochodzą na niego zamachy — zzewnątrz, czy zwewnątrz.

Hiszpańska kontr-rewolucja objawiła się odrazu z niemniejszą energią niż rewolucja komunistyczna, — góruje ona przytem nad tą ostatnią godziwością charakteru moralnego oraz rzetelnością idei. Podczas gdy *„Frente popular”* wybucha szałem mściwej namiętności klasowej, albo wręcz szałem dzikiego człowieka, którego nie hamuje poczucie wspólności narodowej z wrogiem, t. zw. „powstańcy” nie zapominają o tem, że walczą z Hiszpanami, że przelewać krew rodaków bywa niekiedy tragiczną koniecznością nigdy jednak obowiązkiem i rozkoszą. *„Frente popular”* — niszczy, zgładza z oblicza ziemi wszystko czem była, czem jest, czem żyła od wieków Hiszpania; uśmierca on jej ciało i ducha, stawiając natomiast potworny, sztuczny i bezduszny kształt— bezimienną hordę, na łonie bezimiennej „ludzkości”. Powstańcy bronią żywego organizmu Hiszpanii, wyrywają go z rąk oprawców. Jedni idą do walki z hasłem: *„viva la muerte”*, drudzy wznoszą okrzyk: *„viva Espana”*.

Przywódcy *„Frente popular”* mają tylko śmierć do ofiarowania swoim przeciwnikom. (Wszakże Largo Caballero obiecywał ją oddawna niektórym kolegom z Kortezów, mówiąc do Gil Roblés'a, że zostanie on „wyniesiony nogami naprzód“, to znaczy, iż nie umrze śmiercią naturalną).

Jakże inaczej przemawiają wodzowie powstańców, jak o co innego im chodzi niż o śmierć oraz zniszczenie!

„Od czasu jak *„Frente popular“* jest u władzy— mówił generał Franco po zamordowaniu przez rząd przyjaciela swego i wielkiego patrioty José Calvo Sotelo, kraj nie istnieje, nie myśli, nie żyje po hiszpańsku, lecz po moskiewsku. Ład narodowy, zwierzchnictwo narodu ponad partiami, zniesienie wszelkiej ingerencji moskiewskiej — oto nasze hasło!“

A generał Mola: „Marksizm i masoneria, posłuszni rozkazom Moskwy, usiłują skończyć z naszym krajem. Nie godzimy się z tem, gdyż chodzi tu o naszą niepodległość. Nasza historia wzywa nas do tego, nasza godność tego wymaga. Ruch nasz jest narodowy“.

Jeden z przywódców Karlistów (tych najwierniejszych z wiernych idei wyznawanej), Don Luis Arellano, tak przemówił: „Ruch nasz zatriumfuje dlatego że jesteśmy ładem przeciw anarchii, Ojczyzną przeciw międzynarodówce, szczerością wobec fałszu. Znam nasze rozdziały, lecz odrazu i teraz jesteśmy wszyscy zgodni: Hiszpania jutrzejsza nie będzie zobowiązana do zdawania rachunków, mniej lub więcej zamaskowanym sojusznikom Moskwy.

Po tego rodzaju dobitnych oświadczeniach wodzów powstania narodowego, wyruszono natych-

miast w pole, a jak ich słowa i uczucia zgodne są z duchem ogółu powstańców, o tem jak oni potrafią walczyć bohatersko i wiernie stać przy sztandarze narodowym, niech świadczy, spomiędzy wielu innych faktów, dwumiesięczna obrona Alcazaru przez garść walecznych.

Jak można wnosić z planu wojennego wodzów kontr-rewolucji hiszpańskiej, z dotychczasowego przebiegu walk, z ducha zgody i ładu z jej strony, rozstroju zaś i rywalizacji (republikanów i socjalistów z komunistami, tych z anarchistami i t. p.) — z przeciwnej, prędzej czy później zwycięży ruch narodowy.

Jakże się zawiodą srodze ci, co uwierzyli przepowiedni swego moskiewskiego wodza: Nie, stanowczo, wielki błąd w swoim rachunku hiszpańskim popełnił Włodzimierz Iljicz!

Wogóle międzynarodówka komunistyczna będzie doznawać zawodu w swojej działalności rewolucyjnej wśród narodów o cywilizacji zachodniej, jeśli będzie przykładać do nich tę samą miarę, co przykładała w Rosji. I nietylko dla tego, iż żywsze i pełniejsze panują wśród nich uczucia narodowe, że większe tam przywiązanie do tradycyj narodowych niż w Rosji, lecz jeszcze z tego powodu, że ich ogólna koncepcja bytu ludzkiego, jego sensu oraz przeznaczenia, jest wyższa, słuszniejsza, służąca bowiem utrzymaniu i rozwojowi życia, nie godząca się z jego nicestwem, z jego urojeniem.

W Rosji ideał religijny oraz ideał społeczny wyrażały się najpełniej w oczekiwaniu i upragnieniu „Królestwa Bożego" na ziemi, — gdy chodzi o pierwszy — i w możliwości urzeczywistnienia za jednym zamachem, w formie gotowej, danej z góry, raju ziemskiego, gdy chodzi o drugi. Podobnym tęsknotom i spodziewaniom się dogadza najzupełniej ideał społeczeństwa komunistycznego, oczywiście tylko jako obietnica i uwodzenie, gdyż w praktyce jest on zaprzeczeniem wszelkiego „raju".

Społeczeństwa zachodnie, rzymsko-katolickie, wręcz przeciwny piastowały ideał, mianowicie ideał „Królestwa Bożego" nie na ziemi, ale w niebie, który aby osiągnąć, trzeba życie doczesne poświęcić doskonaleniu natury ludzkiej, iżby własną zasługą posiąść błogi żywot wieczny.

W pierwszym wypadku mamy bierne wyczekiwanie przyjścia rzeczy upragnionej, która zostanie dana zzewnątrz, przez kogoś, czy coś, przez jakąś wszechmocną istotę, czy jakąś magię, która wszystko zmieni odrazu, w kształcie ostatecznym, na lepsze, na raj zapowiadany. W drugim — ludzie nie ufają dobrodziejstwom narzuconym z góry, mechanicznie, nie wierzą magiom sprawiającym cuda niebywałe, wolą osobisty, swobodny wewnętrznie, współudział w ulepszaniu swego bytu, wierząc iż to jest zgodne z przeznaczeniem człowieka, z rozumną wolą jego Stwórcy.

Taki ideał żywiła Hiszpania, kraj wielkich świętych i wspaniałych geniuszów, w ciągu wieków swego historycznego istnienia, i nie sądzimy, gdyż mężne przeciwstawienie się żywiołów narodowych siłom przewrotu nas w tem utwierdza, żeby się go zrzekła i zastąpiła ideałem komunistycznym, co zapowiada raj na ziemi, a stwarza piekło! *Viva Espana*!

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

POLESIE SZUKA CYWILIZACJI

W CZASOPIŚMIE „Sprawy Narodowościowe", wydawanem przez państwowy Instytut badań narodowościowych (nr. 1-2 z r. 1936) ukazała się bardzo interesująca pod względem naukowym i nie małej wagi politycznej rozprawa Józefa Obrębskiego pt. „Problem etniczny Polesia". Praca ta zasługuje na uwagę choćby ze względu na pouczający wykład o metodzie badań etnograficzno-socjologicznych w kierunku ustalenia poglądu na przynależność narodową tak trudnej do określenia grupy etnicznej, jak poleska.

Pozwalamy sobie jednak przedrukować ustępy z rozdziału końcowego, dające wiele do myślenia opinii publicznej, tak mało zastanawiającej się nad doniosłością zagadnień kresowych, a zwłaszcza — kierownikom naszej polityki wewnętrznej. Gdy Polesie szuka ram i treści cywilizacyjnej dla swego bytu beznarodowościowego, dla czego państwo polskie, mające misję objęcia cywilizacją polską danego mu od dziejów obszaru, zmusza w szkołach na Polesiu i Wołyniu do nauki języka „ukraińskiego"? Tajemnica skomplikowanej spekulacji doktrynerskiej i politycznej! Polesie szuka dla siebie cywilizacji, my mu dajemy ukraińską.

Posłuchajmy p. Obrębskiego.

Trudność problemu narodowościowego Polesia leży w tem oczywiście, że mamy tutaj do czynienia z ludem, który znajdował się i częściowo wciąż jeszcze się znajduje poza orbitą intensywnych oddziaływań i sferą ekspansji grup narodowych, pretendujących do niego, że grupy te nie zdołały jeszcze pozyskać sobie członkostwa tego ludu i że wskutek tego czynnych i solidaryzujących się z tą czy inną grupą narodową jednostek na Polesiu jest niewiele. Z tych też względów dotarcie do tych „narodowo - uświadomionych" w terenie jest częstokroć rzeczą przypadku i badania terenowe nie mogą uchwycić ilościowej strony unarodowienia tego czy innego ludu. Jest to zresztą rzeczą statystyki, która bada to zjawisko na podstawie pewnych kryteriów, uznanych za mniej lub bardziej miarodajne i trafne wskaźniki.

Badania terenowe socjologiczne stawiają sobie tu zresztą inne zadania. Nie chodzi tu o ilościową stronę unarodowienia ludu, ale o charakter jego świadomości, o proces jej formowania się, o te treści, które się na nią składają. Rzecz oczywista, że obserwacje — przy pośpiesznem tempie badań terenowych — mogły dać pełniejszy obraz tej świadomości tylko w odniesieniu do tych obszarów, gdzie natężenie życia narodowego jest znaczniejsze, gdzie jest większa łatwość zetknięcia się z jednostkami, poczuwającemi się do tej czy innej wspólnoty narodowej.

Obszary takie leżą jednak już poza granicami Polesia etnicznego lub na jego peryferiach (w pow. kobryńskim i północnym brzeskim, w pow. kosto-

polskim, wreszcie w pow. prużańskim i kosowskim północnym). Poza temi obszarami jednostki aktywne narodowo są zapewne nieliczne — trudno jest natafić na nie w terenie. Tutaj więc pewien wskaźnik mogły dać tylko te rudymentarne treści, które występują jako składniki świadomości narodowej gdzieindziej.

Jaka jest treść świadomości narodowej tych „uświadomionych"? Czy odbiega od tego schematu, który cechuje Ukraińców i Białorusinów na innych terytoriach? Trudno mi na to odpowiedzieć, gdyż brak mi znajomości Ukraińców i Białorusinów innych krajów. W każdym bądź razie pojęcia o składzie ludnościowym narodu, jego terytorium, bohaterach narodowych, wieszczach i poetach, historii i t. p. zdają się układać według ogólnego schematu, który ludność przyswajała sobie przez uczestnictwo w narodowych organizacjach oświatowych, kulturalnych, poprzez pisma i książki, oraz kontakt z lokalnymi przywódcami życia narodowego.

Dwa składniki świadomości narodowej: pojęcia o języku i terytorjum mogą nas tu interesować ze względu na lokalne zagadnienia zróżnicowań. Otóż jest rzeczą charakterystyczną, że dla definicji własnego języka w kategoriach narodowych przyjęte jest kryterium jego twardości; gwary o wybitnej palatalizacji przedniojęzykowo-zębowej określane są jako białoruskie, te zaś, które nie posiadają tego zmiękczania, — jako ukraińskie. W ten sposób granica białorusko-ukraińska, tak jak ją miejscowa ludność określa, pokrywa się z wewnętrznem zróżnicowaniem Polesia na grupy litwińskie i nie-litwińskie.

Ten podział przeprowadzany jest czy akcentowany nietylko przez tych nielicznych, którzy interpretują tę granicę jako granicę narodów ukraińskiego i białoruskiego. Również w innem cokolwiek znaczeniu i przez tych, którzy, stykając się przez czasowe emigracje z obszarem językowym ukraińskim czy białoruskim i stosując szerszą skalę zróżnicowań czy identyfikacyj etniczych, ujmują istniejące zróżnicowania w kompleksy podobieństw językowych i określają ludność, mówiącą „twardym" językiem jako Chachły, dla tej zaś, która mówi „miękkim" — rezerwując termin Litwiny lub Białorusy.

Te jednak określenia, jakkolwiek podobne do tych, któremi członkowie wchodzących tu w rachubę grup narodowych definiują swoje odrębności, nie dają nam dostatecznego wglądu w proces formowania się świadomości narodowej Poleszuka. Samo ich rejestrowanie nie będzie więc wystarczające.

*

By zrozumieć to zjawisko musimy podejść do tego zagadnienia jeszcze od innej strony.

Świadomość narodowa nie powstaje poprzez mechaniczne przelanie jej treści, takiemi jakiemi są u aktywnych członków narodu, na tych, którzy doń jeszcze nie należą. Korzenie patriotyzmu, korzenie poczucia wspólności i solidarności z większą, wszystkich ogarniającą całością, leżą w tym kompleksie uczuciowym, który najlepiej oddaje niemiecki termin: *Heimatliebe* czy *Heimatgefühl*. Ojczyzna to przedewszystkiem sentyment dla swego miejsca rodzinnego, przywiązanie do swego otoczenia; to zadowolenie z tych form bytowania, w których się tkwi i spędza życie. Te małe ojczyzny, stanowiące świat przeżyć najkonkretniejszych i najistotniejszych, uczą kochać wielką. Gdyż ta wielka ojczyzna, pojmowana jako wielka wspólnota kulturalna, łączy ludzi w naród tylko wówczas, gdy, rzutując w nią swe lokalne i najbardziej własne wartości kulturalne, podnoszą je do godności narodowych i w ten sposób włączają je w schemat większy, potężniejszy i wspanialszy. Tak więc *Heimatliebe* i *Heimatgefühl* są najżywotniejszemi rezyduami ideologii narodowej; są one tęmi irracjonalnemi imponderabiliami, bez których nie może być chyba mowy o ojczyźnie szerszej, ani o świadomości narodowej.

Jakże się przedstawia sprawa tych imponderabiliów na Polesiu?

Przywiązanie do własnego kraju, duma z przynależności lokalnej, otaczanie estymą i sentymentem własnych zwyczajów, obrzędów, pieśni, gwary, podnoszenie ich do godności i cech narodowych i kultywowanie ich z tych względów, stwarzanie jednem słowem tradycji kulturalnej, nie zwyczajowej już, lecz narodowej, ogranicza się tylko i to w niezbyt wydatnej postaci — do peryferycznych obszarów poleskich czy nawet pozapoleskich.

Na samem Polesiu, zwłaszcza na Polesiu głębokiem, zjawisko to nie daje się zauważyć. Obserwujemy tu jako objaw masowy i dominujący coś wręcz przeciwnego: ucieczkę od własnej kultury; pogardę i lekceważenie dla swego środowiska; niechęć do własnego kraju. Pod względem stosunku do własnej tradycji i starodawnych wzorów zwyczajowych Poleszuk jest w gruncie rzeczy kompletnem zaprzeczeniem tego wizerunku, jaki przypisują mu sąsiedzi. To, co na Polesiu uderza każdego, kto bliżej zetknie się z jego mieszkańcami, to nie konserwatyzm, lecz nowinkarstwo. Ma ono bardzo rozległą skalę. Nie ogranicza się do stroju, etykiety, inowacyj rekreacyjnych, sięga do norm i zwyczajów prawnych, nie oszczędza języka, manifestuje się nawet w dziedzinie religijnej (sekciarstwo).

Na tle rozkładu kultury ludowej i dezorganizacji społecznej, przez które współcześnie przechodzi Polesie, dawna tradycja jest negowana na każdym niemal odcinku. Bez indywidualnych zastrzeżeń, jak *„ja toho nie priznaju"*, uszczuplających nieustannie jej zasób, respekt i spontaniczny sentyment już się z nią więcej nie wiążą. W ślad za tem pojawia się prąd za wyrwaniem się z tego własnego świata, za przejściem do innych klas społecznych czy grup etnicznych, których wzory kulturalne, stopa życiowa, stanowisko społeczne imponują.

Bezpośrednie otoczenie Poleszuka, jego miejsce rodzinne, staje się dla niego czemś, co nadaje mu uciążliwe piętno poleskości, co obarcza go paszportem niższości, glejtem upokorzenia. Jego przynależność etniczna, czy raczej ojczysta, jest dla niego rzeczą wstydliwą i bolesną. To nie jest rzecz na eksport, to nie jest powód do dumy i wyróżnienia. Z tem rodzimem środowiskiem łączą go węzły rodzinne; warsztat pracy, zabezpieczający *minimum* egzystencji; niezdolność czy niemożność znalezienia sobie lepszego zabezpieczenia gdzieindziej — ale nie sentyment i przywiązanie, nie poczucie wartości tego, co mu jest najbliższe.

Kryzys gospodarczy, ten jeden z najpotężniejszych czynników rozkładu społeczeństwa poleskiego, nadaje tym defetystycznym postawom

Poleszuka w stosunku do swojego kraju szczególną emfazę. Wyraża je chyba najtreściwiej stereotypowe określenie Poleszuka: „Polesie to Sybir, to katorga".

*

Stosunek do własnego języka jest jednym z najważniejszych sprawdzianów zarówno poczucia narodowego, jak i łączności z własną grupą etniczną. Mowa bowiem, zwłaszcza w społeczeństwach pierwotnych, stanowi najbardziej chyba o poczuciu odrębności grupowej, przeprowadza linię demarkacyjną między swoimi i obcymi. Jest nie tylko znamieniem przynależności grupowej, jest jej warunkiem.

Przy tworzeniu się świadomości narodowej, przy rozrastaniu się lokalnego patriotyzmu w patriotyzm szerszy, mowa własna, ta lokalna, zostaje podniesiona wspólnie z innemi wartościami grupowemi do godności wartości narodowej. Wyrazem tego jest utożsamianie jej z językiem grupy całej. W tem unarodowieniu własnego języka niema żadnych stopniowań względności. Jakakolwiek bądź jest i jakkolwiek różni się od tego wzoru, który naród celowo i świadomie kultywuje, gwara zostaje utożsamiona w poczuciu jej przedstawicieli z tym ogólnym wzorem; nie stawiana poniżej, ale często powyżej innych gwar czy nawet ogólnego języka narodowego.

Jakże się przedstawia stosunek do własnej gwary na Polesiu? Otóż faktem jest, że stosunek Poleszuka do własnej ojczystej mowy cechuje ten sam *Minderwertigkeitskomplex*, co jego stosunek do całokształtu swego polskiego bytowania. Posługiwanie się własną lokalną gwarą jest przez wielu Poleszuków uważane za poniżające i upokorzające: zastęp ich ciągle rośnie. Własna gwara określana jest jako gatunkowo niższa i tak też odczuwana. Najpowszechniejszym wyrazem tego jest akceptowanie lansowanych przez wyższe sfery społeczne koncepcyj, że język miejscowy to mieszanka polsko-ukraińsko-rosyjska. W najbardziej zaawansowanej postaci wyraża się to twierdzeniem w rodzaju: *„to nie jazyk, to brod sumasszedszawo"*.

Charakterystyczne jest również systematyczne przeciwstawienie swego języka językom narodowym w kategoriach klasowości, określanie go językiem chłopskim czy prostym *(po prostomu, po mużycki)*; określenia te znajdują często swój synonim w homonimicznych, gdyż czasami akcentujących „narodowość" języka terminach: *chachłackij* czy *biełoruskij*.

Najbardziej jednak znamiennym faktem jest wartościowanie gwary lokalnej w zależności od zróżnicowań etnicznych. Uderza mianowicie to, że własna gwara jest stawiana zawsze poniżej peryferycznej lub pozapoleskiej gwary sąsiedniej. Własna gwara określana jest jako prosta czy *„podchodiaszczaja"*, czy też mieszana lub chachłacka; cudza, zewnętrzna—jako czysto ukraińska, czysto białoruska czy też czysto ruska. Po przejściu do tej grupy, mówiącej tym „czystym" językiem, stwierdzamy tu podobne definicje własnego języka i dalszej, zewnętrznej, mniejpoleskiej czy zapoleskiej gwary. W ten sposób poczucie niższości etnicznej wyraża się w wyższem wartościowaniu gwar cudzych, peryferycznych czy pozapoleskich i stawianiu swoich poniżej nich. Odbicie swoje znajdują te nastawienia w świadomem przyjmowaniu pewnych cech gwar obcych — zjawisko, które na pewnych odcinkach terenu można obserwować z łatwością.

Wreszcie nie bez związku z ogólnemi postawami językowemi Poleszuków będzie zapewne ta szczególna psychoza językowa, która wyraz swój znajduje w ekstazach sekty Piatidiesiatników.

*

Bardzo znamiennym aspektem braku patriotyzmu lokalnego, tego etnicznego *Unglücksgefühl*, które cechuje Poleszuków, jest szczególna nostalgia poleska. Nostalgia, którą Poleszuk odczuwa w swoim kraju do innych krajów, do cudzych ojczyzn. Dwa momenty, właściwe każdej tęsknocie za krajem ojczystym, dominują i w tej specyficznie poleskiej nostalogii *à rebours*: podziw dla ziemi cudzego kraju, dla jego „weselszości", jego bogactwa i dostatniości i wspomnienia walorów jego *menu*.

W tych wspomnieniach pierwsze miejsce zajmują terytoria sąsiednie Wołynia i Białorusi i klin Zahorodzia. Te kraje, z któremi kontakt jego jest najżywszy i w których kierunku istnieją na pograniczach stałe ciążenia, są dla niego najżywszym kontrastem własnego losu, mirażem ojczyzny szczęśliwej.

Możemy teraz zapytać, czy ten stan rzeczy trwał zawsze? Czy zawsze Polesie było takim marginesowym krajem i jego lud zawsze był tak defetystycznie usposobiony do swej ojczyzny?

Pewne fakty wskazują, że to, co obserwujemy współcześnie na Polesiu, jest zjawiskiem nowem, że mamy tu poprostu do czynienia z produktem rozkładu dawnego archaicznego społeczeństwa i rozpadu grupy etnicznej. Przemawiają za tem wyspowe terytoria, gdzie ten proces nie dotarł i gdzie po dziś dzień — równorzędnie z respektowaniem dawnych form i więzi społecznych, z zachowaniem dobrobytu w większym stopniu niż w innych regionach — nostalgia poleska nie manifestuje się tak wyraziście jak gdzieindziej. Taka wyspa istnieje n. p. na pograniczu powiatu kostopolskiego i sarneńskiego. Dowodzi tego pełne godności osobistej zachowanie się tradycjonalistów, ich duma z przynależności etnicznej: przyznawanie się do „poleskości" bez wstydu, skrępowania i zmuszenia, a nawet szczycenie się nią, poparte akcentowaniem, że niegdyś Polesie nie było gorsze od „Pola", czyli Wołynia. Wyrazicielami tych postaw są już dziś tylko starcy, epigonowie tego Polesia, które wewnętrznie się już zarysowało, choć wciąż trwa jeszcze przez definicję i osąd swego otoczenia.

Dzisiejsi Poleszucy są już bowiem inni. Od dawnych reprezentantów tego kraju i tej grupy przedziela ich dzisiaj kompleks niższości etniczej, brak lokalnego patriotyzmu, ucieczka od własnej kultury i własnego środowiska, nostalogia poleska, ciążenie do innych grup etniczych i społecznych, poszukiwanie ojczyzny poza własnym krajem i własnem otoczeniem. Ten cały zespół nowych postaw kulturalnych wyjaśnia nam przyczyny tej oporności, którą Poleszuk wykazuje w unarodowianiu go i tej nieuchwytności jego sylwetki narodowej, która dziwi nas wszystkich: Polaków, Ukraińców i Białorusinów.

Czy tak będzie zawsze, czy w kolei zmian

i przeobrażeń nie nastąpi jakaś kompensacja dzisiejszej psychozy Poleszuka, czy w rezultacie tego adherencja narodowa tego ludu nie zarysuje się z czasem silniej i wyraźniej — trudno jest to przewidzieć. Tyle motywów może tu oddziałać i tyle czynników wchodzi w grę.

W każdym razie, tak jak jest obecnie, ludzie Polesia — w swej przeważającej masie — nie są ani Ukraińcami, ani Białorusinami. Przestają być Poleszukami. Stają się ludem bez ojczyzny.

[JÓZEF OBRĘBSKI]

SPÓR O RĘKOPISY

SPRAWY literatury ściśle są związane z życiem i rozmaite jej sensacje i spory nie rzadko mają nawet wręcz polityczne znaczenie, — trudno o lepszy tego przykład jak sprawa czeskich rękopisów, dotychczas nierozstrzygnięta i wciąż dyskutowana.

Chodzi o to, że w roku 1817 Wacław Hanka, znany czeski literat, wówczas jeszcze student prawa, odnalazł w wieży kościoła królowodworskiego stary rękopis, który przekazał Muzeum Narodowemu w Pradze. W rok później anonimowo przesłano do Muzeum jeszcze jeden rękopis, nazwany zielonogórskim, od miejsca jego znalezienia—archiwum zamkowego w Zielonej Górze. Rękopisy te uznano później za fałszywe, a o sfałszowanie ich oskarżono Hankę. Spór, jaki się z tego powodu rozpętał, do dziś jest żywy i do dziś z całą pewnością nie można orzec, która ze stron ma rację, choć ostatecznie szanse zwycięstwa zdają się przechylać na stronę obrońców autentyczności rękopisów.

Wiek XIX, a raczej początek tego wieku podobnych sporów widział wiele. Jego romantyczne, dość nagłe rozmiłowanie się w przeszłości bezpośrednio po epoce zupełnego jej lekceważenia i gwałtowna pogoń za jej najrozmaitszemi śladami wytworzyły atmosferę sprzyjającą różnym tu powikłaniom. Nie tylko znajdowano stare rzeczy, ale też je masowo i zręcznie podrabiano—zaczęło się to od owego mitycznego Ossjana, którego zmyślił Macpherson, przerzuciło się zaś szybko na ląd stały, aż do historii owej rzekomej „Gužli” iliryjskiej pióra Merimée'go. Skutek tych licznych fałszów i wywołanego przez nie zamętu był taki, że gwałtownie zaatakowano i naprawdę stare rękopisy. Bój zwycięski stoczyło tu „Słowo o wyprawie Igora” a sprawa rękopisów Hanki rozpętała burzę, której sama trwałość i uporczywość jasno dowodzi, że nie mamy tu do czynienia z prostym fałszem, ale z zawiłym problemem literatury.

Zresztą *casus* czeski jest naprawdę wyjątkowy i pod pewnym względem nie ma sobie podobnego. Tylko tu bowiem zachodzi ta okoliczność, że atakuje się rękopisy rzeczywiście istniejące. Nawet „Słowo o Igorze” nie może się tem poszczycić, skoro jego rękopis jeszcze przed rozstrzygnięciem swojej autentyczności spłonął w 1812 roku, a szkoda mówić o Ossjanach etc., których nikt na oczy nie oglądał. Jeśli więc tu zachodzi fałsz, to fałsz obmyślony na wielką skalę, nie zaś prosta literacka blaga.

W życiu narodu czeskiego rękopisy odegrały tak wielką rolę i odnalazły się tak w porę — tak niejako „na zamówienie”, że musiały wzbudzić podejrzenie co do swojej autentyczności; było to całkiem naturalne i dziwićby się należało, gdyby nie podniesiono żadnych zarzutów. W naturze rzeczy leżało przez dyskusję rozstrzygnięcie tej sprawy— podobnie do szeregu innych. Ale specjalny charakter sporu i tysiące elementów pozanaukowych, jakie w nim odegrały rolę — uczyniły tę pożądaną dyskusję zgoła nieścisłą i przewlekłą. To że spór o rękopisy trwa po dziś dzień jest czemś nienormalnem, to że rękopisy zaatakowano swego czasu, — czemś najnaturalniejszem w świecie...

Jak bowiem specjalną i wyjątkową jest realność rękopisów, to że one naprawdę „są“, tak samo wyjątkową jest atmosfera sporu o nie. Gdy kłócono się o „Wyprawę Igora” był to spór potrochu akademicki, uczucia narodowe nie były w nim do głębi zaangażowane. Naród rosyjski miał wtedy państwo potężne i pozycję niemal pierwszą w Europie, nie przeżywał też jakiegoś ruchu odrodzeńczego, nie czuł potrzeby wspinania się na jakieś koturny, wogóle ambicja jego nie była specjalnie poruszona sprawą autentyczności „Słowa”. Wręcz przeciwnie naród czeski. W chwili, gdy dyskusję w sprawie Hanki podjęto, naród ten budził się dopiero do nowego życia; z uśpionego szczepu stawał się ponownie narodem. Przeżywał czarodziejski *revival*, jak feniks odradzając się z popiołów i na nowo dźwigał swój język, swoją literaturę, swoją sztukę. W tem położeniu pytanie: czy rękopisy są autentyczne, nie było dla nikogo pytaniem akademickiem; żaden Czech i żaden Niemiec nie mógł spokojnie o tej sprawie rozprawiać, chodziło tu o zbyt ważne rzeczy. Jedna strona w prawdziwości odnalezionych utworów czerpała przeświadczenie o niespożytości ducha czeskiego i krzepiące przekonanie, że w niczem Niemcom nie ustępuje, że historia i kultura o tem wyraźnie świadczą... druga głosząc fałszywość odkrytych poezyj zarzucała całemu czeskiemu odrodzeniu sztuczność i panslawistyczną intrygę, całą dawną kulturę czeską kwestionowała i oskarżała. W ten sposób kłócące się obozy były obozami polityczno-narodowemi i namiętnie, stronniczo patrzyły na wszystko. To co wtedy powiedziano i napisano, zaciemniło tylko sprawę i nawet dzisiaj swojem echem ją zaciemnia.

Orzeczono więc wtedy w Wiedniu nieautentyczność rękopisów, a dziennik „*Tagesbote aus Böhmen*“ zarzucił Hance fałszerstwo, co wywołało proces sądowy o zniesławienie, w którego wyniku wyrok skazujący redaktora Kuha został skasowany przez sąd najwyższy w Wiedniu. Autorytetów nie brakło wtedy po żadnej ze stron — za rękopisami wypowiedzieli się Palacky i Szafarzyk, przeciw nim Kopitar. Dobrowsky zajął stanowisko kompromisowe, odrzucając rękopis zielonogórski a uznając królowodworski. Na ogół jednak przeważało wtedy zdanie o ich autentyczności. Mickiewicz analizował je w swoich prelekcjach, Goethe tłumaczył „Kytice”.

Po raz drugi bój o rękopisy wznowiono 50 lat temu w warunkach całkiem odmiennych. Odrodzenie czeskie było wtedy faktem dokonanym, a konstytucja dualistyczna dawała Czechom pewne *minimum* swobód,—mieli wtedy także już swój uniwersytet, słowem stali na całkiem pewnych nogach, nie potrzebując już żadnych koturnów. Także umysłowe prądy i ruchy były inne, idealistyczny romantyzm leżał już dawno w gruzach, a wszędzie panoszył się materializm i pozytywizm. W takim stanie rzeczy inaczej patrzano na rękopisy i nie przywiązywano już takiej wagi do ich autentyczności. Wręcz przeciwnie, czujący teraz swoją siłę naród, wpatrzony w dzisiaj i jutro, chciał zrewidować swój pogląd na wczoraj i owe poetyczne marzenia odrodzenia. W zapale rewizjonistycznym odsądzono więc od czci Hankę i jego rękopisy, a w kampanii tej brał żywy udział młody Masaryk na łamach „Ateneum"; — fałszerstwo wydawało się być dowiedzione.

Tymczasem jednak dzisiaj walka o rękopisy odżyła i tym razem dla odmiany wszczęli ją zwolennicy autentyczności, ruszając ostro do ataku. I znowu tło tej walki jest inne i atmosfera moralna inna. Dziś naród czeski ma potężne państwo i jego samopoczucie wzrosło bardzo na siłach. Trzeba mu też przeświadczenia, że i kiedyś był kulturalny i potężny — czuje on też, że bez trudu budzicieli nie doszedłby nigdy do tak triumfalnych rezultatów. Stąd cześć dla rękopisów i chęć uważania ich za autentyczne. Ale jak naprawdę ta sprawa się przedstawia?

Rozważmy naprzód dowody „*contra*" jako te, które zbić należy i które w dotychczasowej opinii zajmowały stanowisko silniejsze. Otóż jest ich spora paczka, ale ani jeden nie ma bezspornego waloru.

Przedewszystkiem więc zwraca się uwagę, że dziesięciozgłoskowiec niektórych epicznych śpiewów rękopisu królowodworskiego jest unikatem w czeskiej literaturze, a wyraźnie przypomina rytm pieśni serbskich ze zbioru Wuka, które tłumaczył Hanka. Dalej zdarzają się pewne nieprawidłowości językowe, których brak gdzieindziej, a które wykazuje także „Zbiór starych wierszy czeskich", ogłoszonych i uzupełnionych przez Hankę w 1817. Wreszcie poezje te wykazują dość silne podobieństwo z Chateaubriandem („*Les Martyrs*") i wogóle mają w sobie coś romantycznego. Słowem jest to dzieło samego Hanki, zresztą jego dzieło najlepsze, wybitnie różniące się od pozostałej po nim spuścizny. Przygważdżającym zaś na to dowodem ma być używanie słowa „tabor", które w XIV w. nie było używane, a które upowszechniło się dopiero po wojnach husyckich.

To wszystko są argumenty filologiczne; rzeczowym jest błękit pruski na jednym z inicjałów i najważniejszy: obecność w rękopisie pewnych skrótów i opuszczeń, co sprawia wrażenie, jakby mając mało pergaminu dopasowywano tekst do niego. Wreszcie rozgłoszono o istnieniu w jednym z tych cennych szpargałów kryptogramu „W. Hanka *fecit*". Trzeba się jednak stanowczo zgodzić, że te wszystkie dowody to tylko poszlaki, często nawet dość łatwe do zbicia, a choć wprawdzie czasem rzeczywiście przekonywające, to jednak nigdy nie tyle, by z lekkiem sercem wypowiedzieć wyrok skazujący.

A więc rewidując te dowody po kolei,—to że dziesięciozgłoskowiec rękopisów jest unikatem o niczem jeszcze nie świadczy. Wiersze „Słowa" są także wyjątkowe, a tem nie mniej autentyczne. To że swoim rytmem przypominają pieśni serbskie także nie jest czemś przygważdżającem, to podobieństwo może być zupełnie naturalne i w utworze z dawnych wieków. Co zaś do owych nieprawidłowości językowych, to z niemi jest bardzo krucho, bo podobne „błędy" napotkano w całym szeregu pism czeskich z owych czasów i to pism najzupełniej nieznanych Hance. Podobnie kruche są też argumenty z Chateaubriandem, z którym podobieństwo, nie tak zresztą silne jak się wydaje, może być raczej przypisane temu, że sam Chateaubriand był pod silnym wpływem średniowiecza, a nie temu, że Hanka był pod wpływem francuskiego romantyzmu. Hanka po francusku nie umiał i Chateaubrianda nie znał. Także przy bliższej analizie owo podobieństwo okazuje się ogromnie przesadzone i tak nikłe, że trudno dopatrywać się jakichś wpływów.

Idąc dalej, nawet owo słowo „tabor" niczego właściwie nie dowodzi, skoro jest to słowo węgierskie, w swoim znanym sensie używane zdawna na Węgrzech, których słownik wojskowy ma nawet pochodne od niego jak dowódca, generał-tabornak. Żyszka upowszechnił to słowo i skojarzył je z biblijną górą Tabor, nie on je jednak wymyślił, tak jak nie on wymyślił szyk z wozów. Już więc przed Żyszką to słowo miało swój obecny sens i jego obecność w rękopisie jest więc tem usprawiedliwiona — sąsiedztwo czesko-węgierskie i ożywione wzajemne stosunki tę pożyczkę tłumaczą. Wszystkie więc te filologiczne dowody są naogół kruche i polegają głównie na chęci dowiedzenia fałszerstwa i mocnej woli jego doszukania się, a również i dowody rzeczowe nie są o wiele silniejsze.

A więc co do błękitu pruskiego, to w rzeczonym inicjale pokrywa on warstwę koloru zielonego, a ten z kolei jeszcze dawniejszą czerwoną—można więc najwyżej mówić o jakiemś późniejszym zepsuciu dawnego inicjału, który okazuje się o wiele starszy od owego błękitu pruskiego. Także kryptogram Hanki, nonsensowny psychologicznie, skoro chciał on wmówić autentyczność rękopisu okazał się istniejący tylko w fantazji wrogów rękopisu i oględziny fotograficzne z 1911 r. wykazały bezpodstawność twierdzeń o jego istnieniu. Jako więc jedyny dowód rzeczowy zostają owe skróty i opuszczenia, które jednak nie mogą być uważane za wystarczające świadectwo podrobienia.

Obrońcy więc autentyczności rękopisów są w stanie gorzej lub lepiej odeprzeć ataki swoich przeciwników, a nawet sami z kolei przejść do ofensywy. Mają oni bowiem w zanadrzu parę porządnych argumentów, natury zarówno rzeczowej jak filologicznej.

Niewątpliwie naprzykład w ciężkiem położeniu stawia uczonych przeświadczonych o fałszu fakt, że miejscowości opisywane w rękopisach są opisywane tak dokładnie, jak nigdy Hanka by nie potrafił, bo nie mógł. Jest więc tam mowa o trzeciej bramie zamku praskiego, a tę przy restauracji odkryto całkiem nie dawno i Hanka nic o jej istnieniu nie wiedział. Zresztą zwolennicy autentyczności (b. rektor Mareš, W. Wojteck etc.) wolą nawet wojować innemi argumentami — bronią chemii i fotografii.

Mianowicie rzeczowe badania rękopisów oka-

zały się całkowicie pozytywne, bo jedynie dość powierzchowna próba dokonana na jednym rękopisie w 1856 r. — dopuściła możliwość fałszu i to nie orzekając go stanowczo. Jeśli zaś chodzi o sam rękopis królowodworski, to poddany bardzo szczegółowym badaniom w r. 1886, na 5 różnych reakcyj chemicznych i oględzinom mikroskopowym—przyczem porównano go najdokładniej z innemi rękopisami z XIV i XVII wieku, a także z fałkami umyślnie przez innych chemików przygotowanemi—wytrzymał tę ostrą próbę i reagował stale jak rękopisy czternastowieczne, podczas gdy rękopisy późniejsze i owe kopie nie wytrzymały jej zupełnie.

W tym samym roku poddano oględzinom i rękopis zielonogórski dochodząc do podobnych rezultatów. Badający go chemik V. Szafarzyk potwierdził swoją analizą opowiadanie znalazcy Kovář'a, który chcąc oczyścić rękopis z kurzu, wytarł go mokrą gąbką, przez co pierwotny czarny kolor pisma zmienił się na zielony. Ponownie poddano badaniom oba rękopisy w 1914 i ostatecznie stwierdzono, co następuje:

Sądząc z pergaminu i sposobu pisania manuskrypkty te są w każdym razie o dobre parę wieków starsze od daty swego odkrycia. Stary inkaust jakim pisany był rękopis zielonogórski znajdował się już w chwili odnalezienia w stanie takiego rozkładu, że jego części metaliczne stanowiły jedno z pergaminem, ustalone w stanie nowej równowagi chemicznej, jaka już od owych stu lat nie uległa żadnej zmianie. Inkaust ten tak wżarł się w pergamin, że litery niemal prześwitują z jednej strony na drugą. Rękopisy badano jeszcze raz w 1930 r. i znowu nie znaleziono nic na poparcie tezy o ich nieautentyczności, mimo że wszystkie te badania były nad wyraz drobiazgowe, przyczem posługiwano się ostatniemi metodami nauki, stosując zarówno promienie X jak i ultra-fioletowe.

Oględziny paleograficzne również wypadły pomyślnie dla rękopisów, a dane jakich dostarczyły umożliwiają różne co do ich powstania hypotezy. Rękopis zielonogórski pisany jest alfabetem łacińskim z pewnemi wpływami cyrylicy; królowodworski gotyckim, używanym powszechnie w Czechach pod koniec XIV stulecia. Paleograf francuski Berger stwierdził, że to pismo przypomina pismo francuskie z tej epoki. Dzisiejszy papież Pius XI, kiedy będąc jeszcze dyrektorem Biblioteki Ambrozjańskiej w Mediolanie interesował się tą sprawą, spostrzegł, że kolor pisma czeskich rękopisów jest analogiczny do koloru paru współczesnych im belgijskich, ściślej flamandzkich.

Te obserwacje uczonych obcych są o tyle specjalnie ciekawe, że wiek XIV — okres rządów dynastii luksemburskiej w Czechach jest okresem szczególnie silnych stosunków z Francją i owemi krajami walońsko-flamandzkiemi, skąd owa dynastia pochodziła. W świetle więc tych danych rękopisy przedstawiają się jako jeszcze jeden ślad tego potężnego wpływu. Profesor Maresz widzi w nich echo francuskiej epiki tych czasów, wiążąc je z pieśniami o Rolandzie. Trzeba przyznać, że ta hypoteza wygląda przekonywająco i zasługuje na uwzględnienie, a dotychczasowe twierdzenia o fałszu Hanki na gruntowną rewizję.

KAROL STEFAN FRYCZ

KONOPNICKA I KRASZEWSKI

(Z NIEZNANEJ KORESPONDENCJI) [1]

OPRÓCZ Mickiewicza jeden tylko Kraszewski, z naszych pisarzy XIX w., śmiało mógł powiedzieć, że w ciągu lat pięćdziesięciu z górą niezmordowanym wysiłkiem zdobył „rząd dusz" swego pokolenia. Świadczyły o tem przedewszystkiem uroczystości krakowskie w dn. 1 października 1883 r., głośne w całej Europie, a także niezliczone listy, jakie odbierał przez całe życie od wielbicieli swego talentu, od serdecznych przyjaciół i przygodnych czytelników, wreszcie od tych, którzy sami próbowali tworzyć i własnemi dziełami dobrze zapisali swe imię w literaturze.

Wielu autorów debiutując zwracało się do Kraszewskiego z prośbą, by kilkoma słowy, niby chryzmem świętem, naznaczył ich utwory nim powędrują w świat szeroki, niektórzy domagali się oceny, a inni oczekiwali rady, lub zachęty tytana pióra.

Zresztą nietylko debiutanci tak bardzo liczyli się ze zdaniem Kraszewskiego. Zwracali się do zasłużonego pisarza również ludzie o ustalonej już sławie i pozycji w literaturze, jak np. Maria Konopnicka, która posyłając czterotomowe wydanie swych „Poezyj" pisała w liście z dnia 27 maja 1881 r.: „W miłościwem przygarnieniu do siebie wszystkich prac ducha narodowego, tyle okazujesz Czcigodny Panie, ojcowskiej prawie dobroci, że i ja ośmielam się przesłać Ci zbiorek poezyj moich, abyś je wyposażył słowem swojem na życie w ludzkiej pamięci, jeżeli tego okażą się godnemi. Wielka to bowiem rzecz jest słowo otuchy usłyszeć od tego, który w sierocem naszem rozbiciu jest ogniskiem światła i ciepła, jest chwałą naszą i węzłem naszej jedności".

Prosząc wówczas o słowa otuchy nie myślała poetka, że w dwa lata później od niej będzie ich oczekiwał Kraszewski, uwięziony w Magdeburgu.

Uznanie, jakie okazała Konopnicka pisarzowi w pierwszym liście, powtarza się i w dalszej korespondencji, nawiązanej w r. 1883 z okazji powstania w Warszawie tygodnika dla kobiet p. t. „Świt", którego wydawca Lewental kierownictwo działu literackiego powierzył Konopnickiej.

Poetka zwróciła się wówczas do Kraszewskiego z prośbą o współpracownictwo gdyż, jak mówi w liście z dn. 12 października 1883 r., „stało się to bowiem potrzebą serc polskich, aby nazwisko Wasze, Panie, ukrzepiało początki wszelkiej idącej z ducha narodowego pracy. Niech więc i to młode pismo w imię to się pocznie i będzie niem naznaczone na czele". Dalej wyjaśnia Kraszewskiemu z jakiego zakresu pragnęłaby mieć od niego artykuły dla „Świtu", a więc coś „z tych okruchów

[1]) Rks. Bibl. Jagiell. Korespondencja Kraszewskiego. Ser. III. t. 50.

ludzi i rzeczy, które tak łatwo dadzą się wyzbierać z osobistych wspomnień Twoich, a z których takie cenne „Mozaiki" powstają". Wreszcie prosi o fejletony przynoszące „odgłos tętna umysłowego i społecznego życia Niemców".

Kraszewski zgodził się pisać artykuły do „Świtu", za co nie omieszkała w entuzjastycznym liście z dnia 5 listopada 1883 r. podziękować mu Konopnicka i wyrazić nadzieję, że pierwszy numer tygodnika będzie się mógł poszczycić listem o „książkach, o ludziach i o życiu". Jednocześnie ubolewa poetka nad podejrzeniami i zarzutami, jakie wówczas robiono sędziwemu pisarzowi, oskarżonemu przez rząd pruski „o udzielanie w latach od roku 1876—1881 doniesień o marszu, względnie transporcie kolejowym armii niemieckiej ku granicy zachodniej, oraz doniesień odnoszących się do instrukcji służbowej dla telegrafów polowych".

Z powodu tak poważnie brzmiącego oskarżenia dnia 13 czerwca 1883 r. aresztowano Kraszewskiego i osadzono w więzieniu śledczem w Moabicie, skąd jednak za złożeniem kaucji w wysokości 30 tysięcy marek został w sierpniu zwolniony, aż do czasu wyniku procesu, który przykuwał, ze względu na znaną osobę pisarza, uwagę całej Europy.

Przyjaciele i znajomi Kraszewskiego nie wątpili ani na moment, by zarzuty miały istotnie jakąś słuszną podstawę, niemniej jednak areszt śledczy i rewizja w mieszkaniu pisarza w Dreźnie dnia 12 kwietnia 1882 r. przygnębiły polskie społeczeństwo, Kraszewskiego zaś rozgoryczyły na rodaków, których pomawiał o obojętność, sądząc, że nie podjęli żadnych kroków, by sprawę wyjaśnić.

A nie było to rzeczą łatwą i nawet najbliżsi i najbardziej oddani mu duchem nie mogli wyciągnąć go z matni, w którą wpadł potrosze przez nieświadomość, potrosze przez lekkomyślność, a właściwie, w którą został przez rząd pruski zapędzony dzięki szantażyście Adlerowi, bardzo sprytnie wyzyskującemu korespondencję, jaką za pośrednictwem Kraszewskiego dostarczał były kapitan armji pruskiej Hentsch do Paryża Bronisławowi Zaleskiemu, zajmującemu się badaniami historyczno-politycznami, a pozatem pisującemu artykuły z tej dziedziny do czasopism francuskich.

Nic też dziwnego, że Kraszewski przejęty toczącym się procesem, który miał oczyścić go z zarzutów, lub też pogrążyć zupełnie w opinii świata, nie myślał zupełnie o danej niedawno obietnicy Konopnickiej i nie nadsyłał korespondencji do „Świtu". Poetka nie daje za wygraną i wysyła dnia 12 lutego alarmujący list, który przyszedł mocno nie w porę, Kraszewskiemu bowiem w tydzień później, dnia 19 lutego doręczono akt oskarżenia. Pisarz pochłonięty troską o własną przyszłość nie miał ochoty, ani sił na współpracę w „Świcie" i dla tego na prośby Konopnickiej odpowiedział odmownie. Petentka jednak była niezrażona, szturmowała ponownie, pisząc:

Czcigodny Panie!

Pojmuję i całem sercem odczuwam przykrość położenia Waszego, Panie—i ubolewam gorąco nad nieszczęsnemi okolicznościami, które nam Was obezwładnić usiłują. Nie mniej boleśnie mi jest, że „Świt"—przychodząc ostatni — z niczem odejść jest zmuszony.

Jeżeli jednak tak już koniecznie być musi, jeśli dla „Świtu" nic, Czcigodny Panie, w tej chwili napisać nie możecie, niechby mu wolno było korzystać z czegoś dawniej już napisanego. Może się znajdzie powieść jaka w tece.

Jakakolwiek jest, duża czy mała, współczesna, czy historyczna, zawsze bym ją z największą wdzięcznością przyjęła.

Łatwiejby mi było w ten sposób czekać pogodniejszej chwili, w której szczęśliwsze okoliczności pozwoliłyby Wam, Czcigodny Panie, periodycznie coś „Świtowi" nadsyłać.

Raczcie nie odmawiać gorącej prośbie mojej i zechciejcie przyjąć Panie wyrazy najgłębszego poważania.

Warszawa, 28/2.84. Marja Konopnicka.

Prośba ta poskutkowała, a właściwie pogląd Kraszewskiego, że najlepszem lekarstwem na wszystkie zmartwienia jest praca, sprawił, że w pierwszym numerze „Świtu" pojawiła się jednak oryginalna korespondencja, nadesłana przez pisarza gdzieś z początkiem marca 1884 r. Świadczy o tem list Konopnickiej z 10 marca, z gorącem podziękowaniem ale i prośbą by na przyszłość Kraszewski wysyłał krótsze fejletony. W liście następnym z 17 marca zwraca Konopnicka fejleton prosząc o treściwsze opracowanie, a zwłaszcza o wyrzucenie wzmianek z beletrystyki francuskiej, z której dawał sprawozdania specjalny, paryski korespondent „Świtu".

Kraszewski posłał wówczas artykuł, który ukazał się w „Świcie" (1884, nr. 1, s. 5) p. t. „Listy I. J. Kraszewskiego" zapowiadając w ten sposób dalszy cykl korespondencyj.

W pierwszym liście postawił Kraszewski pod pręgierz dziennikarstwo, oburzając się zwłaszcza na głód sensacji i karmienie czytelników kryminalnemi reportażami, zaznaczając, że „występek bywa zaraźliwy, że pilne i umiejętne opowiadania reporterów służą niekiedy za wskazówki i wzory do naśladowania pewnym jednostkom usposobionym do złego [1]".

Potępia zwłaszcza „*Figaro*" i jemu podobne dzienniki, żerujące na łatwowierności czytelników i prześcigające się nawzajem w pozyskiwaniu abonentów, bez względu na skutki jakie mogą wywierać plugawe nieraz informacje.

Uwagi Kraszewskiego i dzisiaj po pół wieku nie straciły nic ze swej aktualności. W Polsce odrodzonej znowu warto przytoczyć szlachetny pogląd autora na zadania prasy. „Pole dziennikarstwa"—pisze Kraszewski — „jest tak niezmiernie rozległe, że porzuciwszy niezdrowe trzęsawiska pozostanie dosyć nietkniętych dotąd przestrzeni, które ono uprawiać może bez obawy szerzenia zarazy".

„Należałoby raczej podnosić i uszlachetniać a nie chorobliwą karmić ciekawość poruszając namiętności, niepokojąc niedojrzałe umysły".

Konopnicka, zachwycona tym artykułem, wysłała serdeczne podziękowanie Kraszewskiemu i w liście z 25 marca starała się dodać znękanemu dochodzeniami władz pruskich pisarzowi otuchy pisząc: „Wszyscy my tu bolejemy bardzo nad opłakanem położeniem, w jakie nieprzyjaciele nasi wtrącili Czcigodnego Pana. Bolejemy i pragniemy najgoręcej, aby się to już raz skończyło, abyście Panie odzyskać mogli spokój dawny, a z nim i zdrowie i myśl swobodną. Daj Boże, aby jak najprędzej..."

(Dok. nast.) IRENA TUROWSKA

---

[1]) „Świt" 1884. Nr. 1 s. 5.

NA WIDOWNI

Zofia Kossak o kwestii żydowskiej. — Akademicka dyskusja. — Ghetto i nawrócenie. — Nalewki na roratach.

„ŻYDZI są nam tak straszliwie obcy, obcy i niemili, bo są innej rasy. Drażnią nas i rażą wszystkie ich cechy. Wschodnia zapalczywość, kłótliwość, specyficzny rodzaj umysłu, oprawa oczu, kształt uszu, zmrużenie powiek, linia warg, wszystko. W rodzinach mięszanych węszymy podejrzliwie ślady tych cech do trzeciego, czwartego pokolenia i dalej..."

Słowa powyższe, to cytat z tygodnika „Prosto z mostu" (nr. 42 z dn. 27 września r.b.), z artykułu p. Zofii Kossak p. t. „Najpilniejsza sprawa." Znakomita powieściopisarka, z charakteryzującym ją, nieubłaganym realizmem, wskazuje fakt, którego prawdziwości nie da się zaprzeczyć. Jednakże wnioski, jakie ze stwierdzenia tego wyciąga, trudno jest uznać za dostatecznie przekonywające i pogłębione. Rozpatrzmy pokrótce główny tok rozważań autorki „Pożogi."

Jako katolicy — dowodzi p. Kossak — mamy obowiązek dążyć do nawrócenia Izraela: przyjęcie chrztu przez wszystkich bez wyjątku żydów w Polsce byłoby, z tego punktem widzenia, rozwiązaniem idealnem i ostatecznem. Jako Polacy powinnibyśmy jak ognia obawiać się podobnego rozstrzygnięcia sprawy: ów paromilionowy zastęp neofitów „narzuciłby swoje cechy psychice polskiej, wytworzył nową narodowość... Przestalibyśmy istnieć jako Polacy. Pozostałaby nazwa, zmieniłaby się istota nazwy." Dlatego też — twierdzi dalej głośna pisarka — „rozwiązanie radosne dla katolika, nie uradowałoby Polaka... Młodzież polska musi walczyć z zalewem żydowskim, pomimo, a nie z powodu swego odrodzenia religijnego."

Z prawdziwem rozrzewnieniem czytałem te wywody p. Kossak, tak przypominające nasze dyskusje z lat studenckich, na najbardziej pasjonujący nas wówczas temat: „nacjonalizm i katoliczym." Wydało mi się, żem odmłodniał o lat kilkanaście, że słyszę znowu filipikę któregoś z kolegów, w takiż sam sposób, temiż samemi argumentami dowodzącego nie dających się tu pogodzić antynomij. Ale autorka „Pożogi" i „Krzyżowców" kończy akordem optymizmu: „Rozwiązanie uczciwe a skuteczne musi się znaleźć, tylko go trzeba poszukać. Trzeba sobie uświadomić jego konieczność." Sądzę, że ścisłość definicyj i wnioskowań okazałaby się w tych poszukiwaniach znacznem ułatwieniem.

Ustalmy więc, iż ze strony żyda-neofity lękamy się nie jego wiary katolickiej, ale jedynie prób dostania się wewnątrz polskiego społeczeństwa. Rażą nas te usiłowania tem bardziej, że katolicyzm właśnie nie tylko nie zrywa przyrodzonych więzów moralnych (rodziny, narodu), ale przeciwnie opromienia je nowym blaskiem i uświęca. Trudno nam pojąć, dla czego przyjęcie prawdziwej wiary ma się kojarzyć ze zwolnieniem się z obowiązku względem swoich rodaków. Jest to coś zlekka przypominającego sytuację, kiedy ktoś, zmieniając swoją dotychczasową religię, zmienia zarazem, przy tej sposobności także i... żonę. Zapewne, wielu, niezadowolonych z pożycia małżeńskiego, w ostatnich latach zwłaszcza dochodziło do wniosku, że jedynie nauka Kalwina o predestynacji odpowiada ich najgłębszemu przeświadczeniu, ale opinia nie chyliła naogół czoła wobec powagi takich religijnych przemyśleń i przeżyć. Podobnież kiedy — jak trafnie zaznacza p. Kossak — żyd-neofita pogardliwie nazywany bywa „wychrztą", wzgardliwość budzi w tym wypadku nie nowa wiara, ale usiłowanie pozbycia się dawnej narodowości.

I tutaj rozwiązaniem sprawy może być tylko ustawowe oddzielenie społeczeństwa żydowskiego od polskiego, innemi słowy: pozbawienie żydów praw politycznych w Polsce. Postulat ten był główną tezą referatu p. Polkowskiego na Zjeździe Skargowskim (dziwna rzecz, iż artykuł p. Kossak, właśnie tym referatem wywołany, zagadnienie to pominął milczeniem), jest on już zresztą coraz to powszechniejszem żądaniem, coraz to silniej z rozmaitych stron przez opinię polską wysuwanem. Ostatniej niedzieli, podczas plebiscytu łódzkiego, za tym programem opowiedziała się większość wyborców — Polaków, a na wspomnianym Kongresie ku czci Piotra Skargi to właśnie hasło z największym zapałem było przez uczestników obrad oklaskiwane.

Otóż stan, w którym żyd, po przyjęciu chrztu, nie wychodziłby z ram prawnych ghetta, byłby najskuteczniejszem oczyszczeniem atmosfery, rozstrzygnięciem najpomyślniejszem i w interesie katolicyzmu i polskości. Chroniłby przed powtórzeniem się zjawiska „marranów", byłby rękojmią szczerości i bezinteresowności nawróceń. Fakt, iż przez chrzest droga wiodłaby wyłącznie do zbawienia, nie zaś do jakichkolwiek korzyści, uprawnień, urzędów, czyniłby każde przejście na katolicyzm czemś szanownem, epitet „wychrzta" niewątpliwie zniknąłby wkrótce ze słownika. Co więcej, tylko pozostając w szeregach swej społeczności mógłby żyd chrzczony pracować nad chrystianizacją swoich współbraci, oddziałać na kształtowanie się ich życia duchowego, prowadzić ich ku prawdziwej wierze. Chrzczony żyd, po dawnemu posługujący się żargonem, łatwiej przyczyni się do nawrócenia mas żydowskich, aniżeli pisując rozprawy teologiczne w „Verbum..."

I teraz, po tych zasadniczych uwagach, przejdźmy do fantastycznej wizji p. Kossak, która, jej zdaniem, tak powinnaby przerażać polskiego patriotę:

> „Przypuśćmy, że staje się cud, pewnego pięknego dnia wszyscy nasi polscy żydzi stają się katolikami. Przemieniają bóżnice na kościoły. Zniesione są mykwy, chedery i ubój rytualny. Zimą całe Nalewki śpieszą na roraty..."

Zapewne, pozostałby wówczas między Polakami i żydami konflikt, bo przyczyną jego są sprzeczności dążeń narodowych, przeciwieństwa rasowe, ale żyd-patriota, szczerze wyznający katolicyzm, musiałby w walce tej posługiwać się orężem szlachetniejszym, a już to samo byłoby przecież zyskiem nie do pogardzenia. Gdyby zaś kultura katolicka upowszechniła się w żydostwie, zrozumiałoby ono, jak nieszlachatne jest wciskanie się w cudze społeczeństwo, i wogóle byt pasorzytniczy w rozproszeniu, na ziemi innego narodu. Wówczas, kto wie, może narodziłby się nowy syjonizm, a w każdym razie współpraca z żydami, jeśli chodzi o wysiedlanie ich z Polski, okazywałaby się o wiele owocniejsza i łatwiejsza.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

CZASY LAT OSTATNICH ZMIENIŁY SŁOWNIK POLITYCZNY. Naniosły całą masę terminów wojskowych. Znak, że walka przedewszystkiem obecnie dominuje. Działacze współcześni nie bardzo już nawet rozumieją sens słowa „polityka".

Mamy więc ofensywę „Frontu Ludowego". Widać go na coraz to liczniejszych odcinkach, a linia frontu bojowego wydłuża się niepomiernie. „Front Ludowy" nie stanowi jednolitej armii. Jest on koalicją, której kadrę stanowią komuniści a sztab Komintern. W skład koalicji, oprócz wyżej wymienionej kadry, wchodzą socjaliści, używający chętnie swojej firmy (cóż więcej mogą ofiarować?), część ludowców, oraz żydzi jako całość, jako naród, od biedaka począwszy na typowym, stuprocentowym burżuju skończywszy. Ten to typ żydowskiego burżuja wprowadził do czerwonej koalicji niespodziewanego zdawałoby się sprzymierzeńca — kapitalistę.

Pisaliśmy już kiedyś na łamach „Myśli", że są u nas tacy dziwni ludzie, co to wolą służyć interesom i planom imperializmu rosyjskiego, angielskiego, żydowskiego, byleby tylko nie polskiego. Jeśli zważymy że w wyborach w Łodzi około 70% wyborców Polaków głosowało na Obóz Narodowy, stwierdzić należy, że ilość tych „dziwnych ludzi" jest na szczęście w społeczeństwie naszem niewielka. A odliczmy jeszcze winnych „niezawinionych"...

Skąd więc ta cyfra 34 radnych czerwonych? Wyjaśni nam to przykład jednego z obwodów wyborczych: na liście zapisanych było 35-ciu chrześcijan, na listę Obozu Narodowego padło 32 głosy, a na listę PPS-u — 260! Oto wytłumaczenie. Krótkie ale dosadne. „Polska" Partja Socjalistyczna to żydowski proletariusz, żydowski burżuj i żydowski kapitalista.

Wybory w Łodzi nie były aktem samorządowym. Trudno powiedzieć, jaki będzie rząd miejski; że na sanacyjnego kandydata nie padnie ani jeden głos to pewne, nie będzie bowiem miał kto nawet wystawić sanacyjnej kandydatury. Na innego rodzaju, aniżeli prorządowe z reguły się nie zezwala (chociaż niema, co prawda, reguły bez wyjątków, *exemplum* czerwony magistrat Radomia i czerwony magistrat Piotrkowa). Akt z dnia 27 września w Łodzi był aktem przekraczającym granice miasta, był ekranem, na którem ujrzeliśmy oblicze ideowe Polski. Jest ono wyraźne i wskazują na jeden oczywisty fakt, że toczy się na naszem terytorium walka dwu nacjonalizmów: polskiego i żydowskiego. Tak więc sens politycznego życia u nas sprowadza się do jednego mianownika: kwestii żydowskiej. Bez pozytywnego jej rozwiązania nie ma mowy o żadnych innych pozytywnych koncepcjach.

Jeszcze jednem świadectwem prawdziwości słów, iż zwycięstwo czerwonych jest zwycięstwem żydowskiem staje się prasa żydowska, która nie zważa na pokaźny spadek swoich formalnych przedstawicieli z liczby 14 na 9, ale aż się zachłystuje na myśl o 40 mandatach (łącznie z „Bundem") socjalistycznych. Co prawda na liście P.P.S. zostało wybranych pięciu żydów co już rekompensuje straty list formalnie żydowskich, ale nie stąd radość. Radość sprawia rozległość „frontu ludowego."

Jakże żal, szczerze żal tych na szczęście coraz mniej licznych Polaków z tamtej strony barykady!

NIESŁUSZNIE MILCZENIEM ZOSTAŁA POMINIĘTA wydana w roku ubiegłym książka p. Włodzimierza Bączkowskiego p. t. „U źródeł upadku i wielkości". Stylowo i myślowo jest ona wprawdzie błotno-mętna, ale zawiera trzy szczypty myśli bardzo wy-raźnych i tak znamiennych, że warto je poznać. Oto one:

Pierwsza szczypta:

„W obecnych warunkach nadciągającej na Europę wschodnią burzy ruchów nacjonalistycznych, przeżywanych obecnie przedewszystkiem przez Włochow i Niemców, jedynie przez rozwiązanie zagadnienia narodowościowego może Polska stanąć na pewnej drodze do wielkości. Jedynie tworząc wzorem swoich sąsiadów dalszych i bliższych—korporacjonizm narodowościowy, wnosząc potężne Magnitogorski porozumienia polsko-ukraińskiego i narodowościowego wogóle, może Polska stać się Państwem, dla potęgi i wielkości którego pracować będą szczerze nietylko 20 milionów Polaków, ale 33 miliony jej obywateli, Państwem, z wielkością i potęgą którego nadzieje swoje wiązać będą siły i prądy wszelkich form odrodzenia narodowego i kulturalnego, jakie na nieogarnionych przestrzeniach Eurazji odbywają i odbywać się będą".

Druga szczypta:

„Polska będzie sięgała tak daleko, jak głęboko w wewnętrznych przekonaniach wszystkich nie-Polaków w Polsce (i tuż poza jej granicami) tkwić będzie wiara w sprawiedliwość polskiej polityki narodowościowej, w jej tolerancję wobec inowierców, jak dalece Polska będzie prawdziwą oazą i miejscem wytchnienia dla wszystkich udręczonych i najszlachetniejszych żywiołów obconarodowych poza jej granicami..."

Trzecia szczypta:

„Polska pójdzie tem szerzej i tem głębsze fundamenty założy pod trwałość swą i niezniszczalność, im silniejszym ogniem wypalane będą wrzody kompleksu endeczyzny, rozlanej w całem życiu polskiem, ale skupionej gęstemi plamami w obozie narodowym. Polska będzie wreszcie tem większa, im mniej będzie narodową Polską Piastowską, im bardziej będzie jagiellońskiem gniazdem narodów, im Państwo Polskie, przez polski wysiłek przedewszystkiem bronione, mniej będzie „Polską dla Polaków", im bardziej będzie „wspólnem dobrem wszystkich obywateli".

Jak widzimy, autor zachłyśnięty wspaniałością swojej wizji wpadł w wielosłowność krasomówczą, która nie nadaje się do szerszej na tłumy propagandy. Podajemy przeto trzy skróty owych trzech peanów autora, skróty w gotową formę haseł propagandowych ujęte:

„Polska będzie tem większa, im będzie mniejsza! Polska będzie tem potężniejsza, im będzie słabsza! Polska będzie tem bardziej polską, im mniej będzie miała Polaków"!

A dodajmy na pociechę autora i taką jeszcze pramaksymę maksym przytoczonych: „Polska będzie tem mądrzejsza, im większą w niej rolę odgrywać będą romantyczne kołtuny".

NAUKA i LITERATURA

POETA I KRAWIEC

W OSTATNIM zeszycie (lipiec-sierpień) „Wici Wielkopolskich" p. Stanisław Helsztyński ogłasza, jako przyczynek do życiorysu St. Przybyszewskiego, korespondencję tego pisarza z krawcem. Epizod zabawny, charakterystyczny i bardzo pouczający, jeśli chodzi o poznanie przeciwieństw, zachodzących między lekkomyślnym światem poetów a światem solidnej, a trzeźwej moralności. Rzekłbyś: konik polny i mrówka.

Przybyszewski w r. 1896 zamówił u krawca Berkana (poznańczyka) w Berlinie garnitur. Część zapłacił, na resztę (około 200 mk.) wystawił weksel. Pojechał do Hiszpanii, potem do Krakowa, Warszawy, wreszcie do Monachium, ale nie płacił. Berkan ścigał go listami, wreszcie pozwami i przez komorników. Trwało to lata i pewno nawet dziwiło Przybyszewskiego, skąd się wzięła u zamożnego Berkana taka zaciętość i dokuczliwość. Wyjaśniają to listy.

Przybyszewski był z tego gatunku ludzi, którzy się noszą z pretensją do świata, że źle wynagradza ich zasługi. Wiadomo, poeta, usuwający się poza społeczeństwo, poza prawo, poza obyczaj, poza zdrowy rozsądek. Zniecierpliwiony pisze do Berkana (Monachium 21.1.1913):

„Wie Pan, to, co pan ze mną wyrabia, to już przechodzi pojęcie ludzkie.

W oczach komornika Niemca, którego mi Pan ustawicznie nasyła, czytam poprostu zdumienie, co on ma fantować—może pierścionek ślubny, albo lichy zegarek stalowy? Albo może parę mebli, które mi żyd powierzył na spłaty, na które cierpliwie czeka?

Wy wielcy potentaci i zacni obywatele krzyczycie: Swój do swojego! — Niech mnie Bóg broni, gdybym raz jeszcze poszedł do swojego. Nie miałbym teraz tego wstydu, że artysta, tak naokoło Polski zasłużony, jak ja, musi łykać niemieckie kpiny: *Donnerwetter! Was für Landsleute Sie haben!*

Po śmierci artysty, to takiego biedaka wieziecie na Skałkę i głupią hecę pogrzebowych obrzędów urządzacie, a za życia dla głupich dwustu czy trzystu marek artystę polskiego na ciężki wstyd wobec niemieckich komorników wystawiacie. Gdybyś Pan jeszcze był biednym jakimś rzemieślnikiem, tobym rozumiał ten bezustanny pogrom, który pan na mnie urządza, ale pan zamożny człowiek. Magistrat niemiecki tu w Monachium uwolnił mnie na pięć lat od płacenia podatków, a Polak, i do tego zamożny mój Landsmann, chwili mi spokoju nie daje.

Jak jakiego magnata polskiego wywłaszczają i płacą mu za szmat ziemi setki tysięcy, to wtedy niesłychane awantury, hece, wiecowanie, krzyki w niebogłosy—a jeżeli biedny artysta polski, który jedyny przypomina Europie, że jakaś Polska istnieje, w młodzieńczej głupocie i lekkomyślności dług zaciągnie, wtedy jeden okrzyk: Bij, zabij!

A ileście Wy, Wielkopolanie, mi chleba dali za to, żem polskie nazwisko na cały świat rozniósł?

700 mk. przez dwadzieścia lat mojej krwawej pracy.

Coście zrobili dla artysty, który bezustannie przypomina Europie, że i w Polsce istnieje wielka kultura umysłowa? To, że musiałem się wraz z żoną wynieść z Polski, bo praca moja była tak nędznie opłacana, iż wszystko, co zarabiałem, nie byłoby starczyło, ani w Warszawie, Krakowie, czy też Lwowie, na zapłacenie komornego i podatków.

A wstyd!

I mnie tak przed Niemcami wstyd za moich rodaków, że od ust sobie odejmę i pierwszą ratę w kwocie dziesięciu marek prześlę panu na 1-go lutego, czy regularnie będę je mógł panu posyłać, o tem nie wiem—w każdym razie pozostaje panu pruskiem prawem przynależne mu prawo jeszcze raz, drugi i trzeci przysyłać mi komornika, a co do manifestacyjnej przysięgi, to mogę ją z jaknajczystszem sumieniem co drugi dzień składać".

A Berkan na to:

„Szanowny Panie! Moje ponowne upomnienie się o należytość widocznie rozdrażniło Pana do tego stopnia, że pisząc do mnie, zapomniał Pan o zwykłej formie, o jakiej już dziś żaden robotnik nie zapomina. Ja się w ten sposób Panu nie odpłacę, lecz dam radę, aby Pan zapłacił co się należy, to uniknie podobnych nieprzyjemności. Przecież nie będzie Pan żądał, abym Mu dług darował, gdyż by Go to chyba obraziło, ja zaś nie jestem na tyle bogaty, abym mógł darować. Zresztą powiedzmy sobie prawdę: gdybym tak gospodarzył, jak Pan, tobym również jak Pan żołądek ściskać musiał i był wystawiany na wdzięczność społeczeństwa. A to już wtedy jest źle, jeżeli kto pracuje na to dla społeczeństwa, aby ono wdzięcznością mu płaciło. Taka praca nigdy dobrych owoców nie wyda. Ja nawet Panu, jako Jego długoletni znajomy, szczerze i otwarcie powiem, że Jego pisarska działalność wiele złego w naszem społeczeństwie wyrządziła, co dopiero długie lata uczciwej pracy naprawić zdołają. Bądźmy przedewszystkiem ludźmi i jako tacy nie siejmy zgorszenia. Swój pisarski talent użył Pan w złym kierunku, a za to społeczeństwo nie chowa na Skałce po śmierci, gdyż duchy leżących tam mężów takiego towarzysza by nie przyjęły. Niech Pan te słowa odemnie przyjmie.

Co do rachunku, to proszę choć drobnemi ratami wpłacać i na 1 lutego pierwszej raty oczekuję. W takim razie nie będę Panu ambarasów robił, lecz skoro Pan nie będzie płacił, to będę musiał częściej ponawiać podobne seanse. Z rachunku pozostało 163 marek, a reszta są koszty i procent".

Poskutkowało. W kilka dni później nadesłał Przybyszewski pierwsze 10 mk. z dopiskiem:

„Szanowny Panie! list Pański schowałem z przyjemnością do archiwum, a na razie przesyłam 10 marek".

Znalazł się wreszcie człowiek, który rozkiełzanemu moderniście podsunął proste, ludzkie zwierciadło, który „wziął z niego miarę" na krój człowieka. Trzeba było na to—krawca Poznańczyka.

Małopolanie w Krakowie tylko go psuli, bijąc przed nim czołem, jako zwiastunem nowego porządku świata moralnego. X.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem Instytutu Wydawnictw Różańcowych w Toruniu ukazała się, bardzo na czasie, broszurka „Ślubujemy! Echa pielgrzymki Akademickiej na Jasną Górę 24 maja 1936". (Rok 1936, str. 69).

Ogromnie potrzebna i pożyteczna książeczka. Jakkolwiek bowiem prasa narodowa i katolicka podała w swoim czasie obszerne sprawozdania z wiekopomnego aktu ślubowania młodzieży akademickiej, to jednak ograniczono się — co nie dziwna — do opisów przebiegu głównych wydarzeń, również podając tylko najważniejsze, czołowych przywódców, przemówienia.

Obsługa radiowa nie stanęła, i tym razem, jak zwykle, na wysokości zadania, dając w najciekawszych momentach t. zw. „konfitury radiowe" czyli płyty gramofonowe. O to nawet już nie żywimy pretensji do radia: w takim składzie, jak obecny, władz tej instytucji, niejeden zżymać się musi na odgłos dzwonu, widok, choćby w odległej perspektywie, chorągwi kościelnej. Zasadnicza zmiana pod tym względem, jak i we wszystkich innych dziedzinach życia publicznego nastąpi, miejmy nadzieję, niezadługo.

Tymczasem jesteśmy wdzięczni Instytutowi Wyd. Różańcowych za udostępnienie szerokiemu ogółowi—w rocznicę „Cudu nad Wisłą"—mało znanych dotychczas przemówień programowych przedstawicieli ośrodków akademickich z całej Polski, a więc nietylko z Warszawy i Lwowa (wszyscy pamiętają słowa mgr. Witolda Nowosada), ale z Krakowa, Wilna i Poznania (o nowy ustrój społeczny), Lublina, Gdańska, a nawet odległego Cieszyna (w obronie wsi polskiej przed zakusami bezbożnictwa.)

Duch wiary i siła przekonań, wspólne naogół wszystkim pragnienie przebudowy społecznej w przyszłem narodowem i katolickiem państwie polskiem — oto zgodne elementy ładu w głowach i sercach pokolenia, które tylko patrzeć, ujmie ster w silne ręce, pozwając odejść w spokoju tym, co się „dobrze zasłużyli państwu i demokracji". (ES)

*

Ukazało się dzieło, które może wywrzeć niemały wpływ na kierunek naszego myślenia w sprawach poznawania i rozumienia życia wewnętrznego Polski. Jest to praca księdza Walerjana Baranowskiego p. t. „Wielka tajemnica psychiki Narodu Polskiego". Poznań 1936. Skł. gł. w księg. św. Wojciecha. Str. 368. Cena zł. 5.

Dzieło składa się z trzech części: 1) Ogólne pojęcia o psychice narodowej. 2) Rozwój samokrytycyzmu narodowego w Polsce. 3) W poszukiwaniu biopsychicznej prawdy historycznej o Polsce.

Wywoła ono w kołach hołdujących myśli niezależnej płodną dyskusję. Zanim książka zostanie przestudjowana, podajemy tylko ogólną o niej wiadomość. Poznał ją w rękopisie historyk dr. Andrzej Wojtkowski, dyrektor Bibl. Raczyńskich w Poznaniu. Dał on od siebie na obwolucie książki takie o tej pracy świadectwo:

„Dzieło głębokie i niezwykle aktualne, owoc wieloletniej, wytężonej i wytrwałej pracy. A chociaż główne koncepcje jego dawno już były gotowe, to jednak doskonale uzasadniają one konieczność ekspansji Wielkopolan na Wschód, rozwijającej się w chwili obecnej z taką podziwu godną konsekwencją i systematycznością. Dzieło krzepiące, bo zwalczające wszelki automatyzm i fatalizm dziejowy a przypominające nam, że Pan Bóg wszystkie sprawy, od których zawisła przyszłość narodu, uzależnił w Swojej Dobroci od naszej wolnej woli ludzkiej".

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWY W „ZACHĘCIE"

DAWNO już nie pisałem o wystawach malarskich i — przyznam się — robiłem to rozmyślnie. Pragnąłem w ten sposób przeciwstawić się utartemu zwyczajowi, który każe recenzentowi sztuk plastycznych w prasie pisać o złej i nic nie znaczącej wystawie, a jednocześnie przemilczać inne zdarzenia, dla kultury plastycznej często wielkiej wagi. Recenzent, jeśli ma ambicję, nie powinien się ograniczać do roli rejestratora produkcji plastycznej.

Drugim powodem, który mnie skłonił do opuszczenia murów IPSU i Zachęty (nie na zawsze oczywiście!) jest dość często powtarzające się „*menu*" wystawowe obu instytucyj. Piszę nie od dziś, nie od dziś też wystawiają w Warszawie rozmaici plastycy; twórczość wielu z nich już nieraz omawiałem. Jeśli ten sam artysta po pewnym czasie wystawia ponownie, nie rzadko dostrzegamy w jego nowych pracach zmiany niedość istotne, by zachodziła potrzeba komunikowania o nich szerokim rzeszom czytelniczym. Zmiany podobne powinno się raczej omawiać w pismach specjalnie poświęconych sztuce.

Dziś znowu powracam do wystaw w Zachęcie dlatego, że tym razem wystawia szereg plastyków spoza Warszawy, nie rzadko z zupełnej prowincji. Artyści tacy, żyjąc i pracując na uboczu, mogą się obawiać przeoczenia, gdyż z natury rzeczy nie przypominają się tak często publiczności jak inni, tu, lub też w innych większych miastach, zamieszkali.

Malarzem zamieszkałym, np. w Nowym Sączu, jest Bolesław Barbacki, portrecista. Sztuka Barbackiego wykazuje zupełną obojętność dla zagadnień nurtujących współczesne malarstwo. Z tem się można od biedy pogodzić, niech będzie i konserwatyzm, byle rzetelny. Rzetelny w portretach Barbackiego jest przeważnie rysunek głów. Udatny modelunek (to staroświeckie słowo wydaje mi się tu najodpowiedniejsze) światłocieniuje nieźle bryłę głowy, gorzej natomiast, daleko gorzej, jest z kolorem. Poczynania artysty w tym zakresie zdradzają jego zupełną ignorancję. Gdy malarz poprzestaje na jakiejś zasadniczej barwie, sprawa przedstawia się jako tako. Gdy natomiast pragnie, w swojem mniemaniu, „ożywić" obraz, staje się okropnie kolorkowy. Twarze modeli wyglądają wtenczas jakby powalane rozmaitemi farbkami. Plamki kolorowe na czole, policzku, brodzie hasają sobie z całkowitą beztroską, nie dbając o jakikolwiek sens kolorystyczny. W rezultacie wolimy zupełny brak koloru, niż takie jego pojmowanie.

Zygmunt Dunin, z Łodzi, wystawił kolekcję rysunków tuszem i drzeworytów. Hasłem Dunina jest: „deformacja za wszelką cenę!". Dla niej rezygnuje z podpatrywania natury, choć niby chce ją obserwować i jej różnorodne bogactwo podkreślać. W katalogu znajdujemy tytuły poszczególnych rysunków: kucharz, chłop, łyk, czynownik, panna, typ fredrowski i t. p. Lecz wszystkie te łamagi robione są na jedno kopyto. Dla techniki i pewnej maniery wyrażania się, Dunin, artysta nie bez zdolności, poświęcił poważne studiowanie, a także poważniejsze próby przemiału form naturalistycznych w organizm kompozycji plastycznej.

Z Duninem sąsiadują „Plastycy Bydgoscy": St. Brzęczkowski, Wł. Frydrych, T. Gajewski, F. Gaje-Gajewski, J. Hawryłkiewicz, T. Mokrzycki i K. Vaedtke.

Zapewne, niejeden z artystów, zamieszkałych na prowincji, lub w jakiemś mniejszem mieście, obawia się nieraz, że z tego powodu spóźnia się i nie dotrzymuje kroku kolegom, przebywającym w centrum ruchu artystycznego. Pełen tej obawy, za wszelką cenę pragnie wykazać, że i on jest „współczesny". Ta chęć prześcigania mu wszystko inne i w rezultacie, zamiast dążenia do skromnej chociaż, ale własnej wizji, otrzymujemy jakiś zakazany blichtr współczesności. Czy nie lepiej poprostu pracować nad kolorem, nad rysunkiem, nad kompozycją, doskonaląc coraz bardziej te wartości? „Kłopotliwe zabiegi, zapomocą których staramy się należeć do współczesności, bodaj czy są potrzebne" — pisze prof. T. Pruszkowski. „Wystarczy usiłować lepiej"...

Uwagi powyższe dotyczą niemal wszystkich „Plastyków Bydgoskich". Wolałem je wygłosić pod adresem całej grupy, niż omawiać kolejno poszczególne obrazy, przeważnie b. słabe, nieraz zgoła tępe.

Kończąc o malarzach, wystawiających obecnie w Zachęcie, nie mogę się powstrzymać od zrobienia pewnej uwagi. Oto oglądając po kolei obrazy, na dwu, w pewnych partiach zobaczyłem popękaną farbę. Zaintrygowany, ile też lat liczą sobie oba szacowne płótna, spojrzałem na datę widniejącą w rogu obrazu. 1936 rok — stało jak wół. Ładny kwiat! Jeszcze landszafcik na dobre nie wysechł, a już pęka niczem najstarsze malowidło. „Okazuje się, że i farbę trzeba umieć położyć" — powiedział do mnie kolega Cybis.

Od rzemieślników wymagamy solidnego wykonania zamówionych u nich przedmiotów; cech egzaminuje z umiejętności rękodzieła kandydatów do stanu rzemieślniczego. Tylko artyście wolno partolić i nic nie umieć. A przebież nabywca nie płaci za roczne tylko istnienie obrazu!

Obok malarzy, pani Maria Dunin, znana rytowniczka, członek „Rytu", wystąpiła ze swą wystawą zbiorową. Zanim przejdę do omówienia jej drzeworytów, przytoczę pewien dialog między panią i panem.

Pan: Pani ma śliczne usta.

Pani: No tak, ale łopatkę mam krzywą.

Pan: Cudowne ma pani zęby.

Pani: Żeby Pan wiedział — wszystkie wprawiane co do jednego. I tak dalej...

Gdzie mieszka ta kobieta? — zapytacie zdumieni. Ta kobieta nigdzie nie mieszka. Taka kobieta, któraby, niepytana, demaskowała sama usterki swej urody, nie istnieje.

Ten dobry instynkt, który doradza paniom taić własne defekty, opuścił Marię Dunin, artystkę. Wiemy, że Duninówna dopracowała się własnej wizji, odrębnej, może brutalnej, lecz tęgiej, pełnej wyrazu i zdecydowanego charakteru. Zanim to się stało, artystka zbaczała nie w jedną stronę, przeszła przez rozmaite twardzizny techniki, tonęła w nadmiernej, kaligraficznej nieraz ornamentyce. Nie pamiętaliśmy już o tych grzechach młodości (każdy je ma), przekonani wyrazistością ostatnich jej rycin, aż graficzka sama je przypomina. Te dawne, słabsze ryciny, wystawiła Duninówna w takiej ilości, iż rzucają one cień na jej prace ostatnie.

No i poco?

Kazimierz Wiszniewski, drzeworytnik, zamieszkały w Węgrowie Podlaskim, wystawił szereg rycin, różnych ujęciem graficznem, nie zawsze jednakich wartością. Mimo pewnych niedociągnięć, spowodowanych — mam wrażenie — niedostatecznem przemyśleniem niektórych zadań, poznajemy w p. Wiszniewskim rasowego drzeworytnika. P. Wiszniewski czuje drzeworyt, ujmuje nas także szczerość artysty, za której sprawą jego ryciny prymitywizujące nie czynią bynajmniej wrażenia jeszcze jednej pozy zblazowanego, współczesnego plastyka. Rzadki to dar, który pozwala inteligentnemu artyście prymitywizować tak, aby nie było w tem nuty fałszu. Ten przywilej posiada także znakomity grafik Mrożewski.

Natomiast niektórym znakom książkowym (ekslibrisom) przydałoby się staranniejsze oszlifowanie ich formy graficznej. Dotyczy to zwłaszcza ekslibrisów ciętych cieniutką białą linijką — są one zbyt monotonne; daleko lepiej wypadły znaki książkowe, proste w technice, operujące szerokiemi, białemi plamami.

Autoportret, motywy architektoniczne mają dużo nerwu graficznego, a kompozycje figuralne najbardziej pomysłową technikę. Trzeba jeszcze dodać, że Wiszniewskiego nie zadowala, jak wielu zresztą grafików, jakaś jedna, raz na zawsze ustalona, technika; lubi on w tym zakresie zmiany i wycieczki w krainy różnych możliwości.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

RYK BYŁEGO LWA

GINEKOLOG Cerwus dowiedział się przypadkowo (wskutek rozwalenia przez włamywacza szuflady z listami), że dwadzieścia pięć lat temu, w Zakopanem, bawiąca tam na wywczasach żona jego, pani Lorcia, zdradziła go z najserdeczniejszym jego przyjacielem, architektem Parnym. Wobec tego ginekolog wyzywa architekta na pojedynek, który nie dochodzi do skutku. Awantura kończy się *happy-end*'em.

Oto w niewielu słowach streszczona komedio-farsa Brunona Winawera, p. t. „Ryk byłego lwa". Sztukę ową gra obecnie (z powodzeniem) teatr Mały.

Temat powyższy pozwolił autorowi wyszydzić konwencjonalizm burżujskich pojęć o honorze i naurągać ile wlezie nie tyle Bogu ile Winawerowi ducha winnym figurynkom farsowym, które są wprawdzie zabawne, ale z prawdą obyczajową bardzo niewiele mają wspólnego.

Jak wszystkie utwory Brunona Winawera tak i „Ryk byłego lwa" obfituje w nieprzeliczone mnóstwo dowcipów. Są między niemi świeże, doskonałe. Nie brak również doskonałych odgrzewanych. Ale bardzo dużo dowcipów nie „przenosi rampy". (Tak się to mówi w języku technicznym).

Sztuka jest inteligentna. Chwilami stanowczo za inteligentna, jak na farsę. Robi wrażenie smętne z dwu powodów: po pierwsze z tego powodu że Winawer ma usposobienie melancholijne i że dowcip jego podszyty jest grubo smutkiem, powtóre z tego powodu, że „Ryk byłego lwa" brzmi w uszach słuchaczów niezupełnie zgodnie z intencjami autora. Mam wrażenie, że inteligentny komediopisarz zdawał sobie doskonale sprawę z braków tego utworu i że naumyślnie przyfastrygował do tekstu sztuki parę aforyzmów sztukę ową wyszydzających. Aforyzmy te są nagradzane przez publiczność stosunkowo najobfitszemi i najgłośniejszemi brawami.

W przedstawieniu występują pp.: Kurnakowicz, Grobicki, Munclingrowa, Kreczmar i Wasiutyńska. Wydobywają ze sztuki *maximum* komizmu. Reżyseria p. Wiercińskiego nader staranna.

S. J. G.

FILM

ROMA: „Kły i pazury", film amerykański.

Okazuje się, że łapanie dzikich i krwiożerczych rząt to poprostu fraszka. Oto np. na gałęzi wysokiego drzewa, w malajskiej dżungli, siedzi jaguar. Złapać go? Proszę bardzo. Pod drzewem rościągamy siątkę, potem celnym strzałem utrącamy gałąź na której siedzi jaguar. Zwierzę spada do siatki, siatkę się zwija i odnosi z jaguarem do domu (t. j. obozu).

A może chcecie pytona? Proszę bardzo. Olbrzymi wąż zadusił właśnie lamparta i pełznie teraz ku nam. Wobec tego zarzucamy mu na głowę pętlę, ściągamy ją i pyton nasz. Załadowanie olbrzymiego cielska gada do skrzyni to już drobiazg, o ktorym nie warto nawet wspominać. W podobny sposób, posługując się tylko niekiedy zamaskowanemi zielenią dołami, wyłapuje się także pozostałych przedstawicieli dżungli. Prawda jakie to proste?

Takie wrażenie odnieśli prawdopodobnie wszyscy, oglądający film p. t.: „Kły i pazury", reportaż z wyprawy znanego podróżnika angielskiego, łowcy dzikich zwierząt dla ogrodów zoologicznych. Dzięki zręczności i doświadczeniu łowcy, wspomaganego przez malajczyków, wszystko odbywało się tak składnie i zgrabnie, iż zdawałoby się — o niebezpieczeństwie mowy niema.

A przecież wiemy dobrze, iż nieraz jeden fałszywy ruch, lub chybiony strzał wystarczał, by sprawie nadać całkiem inny, tragiczny obrót. I tu nadarza się dobra okazja do przypomnienia o różnicach, jakie istnieją między naturalizmem reportażu, a rzeczywistością sztuki. Prawdziwe niebezpieczeństwo wcale na takie nie wyglądało w relacji naturalistycznej. Rozumowo, oglądając ten film, zdawaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego łowcom, ale uczuciowo wcaleśmy tego wrażenia nie doznawali. Nieraz efekty dostarczone przez naturę nie wystarczają sztuce.

Powracając do naszego reportażu, stwierdzamy, że właściwem ujęciem tematu wyróżnia się wśród podobnych mu filmów. Nierzadko bowiem, pokazując dżunglę i jej mieszkańców z ekranu, szczuto na siebie zwierzęta, by obrazami dzikich walk drapieżników podniecać łaknącego niezdrowych sensacyj widza. „Kły i pazury" mają ton raczej pogodny i ogląda się je z przyjemnością. Niepotrzebnie tylko obrazom towarzyszą słowa objaśniacza, który patetycznym stylem opowiada o tem, co widz sam widział przed chwilą.

Zdjęcia b. dobre, sporo ładnych pejzaży.

KANDYD

POKŁOSIE

BEZ WIELKICH SŁÓW

POWTÓRNĄ dewaluację franka francuskiego, wskutek której obniży się bodaj do jednej siódmej części swej przedwojmnnej wartości, ubrano w szatę wielkich słów, nazwano to porozumieniem monetarnem trzech największych potęg finansowych świata: Ameryki, Anglii i Francji, tak jakby tamte dwie potęgi coś istotnego do tego porozumienia wnosiły, jakby coś poświęcały. Trzeba te wielkie słowa odrzucić, a wtedy ujrzymy wyraźnie powód tej operacji, mianowicie bankructwo rządów socjalistycznych, nie pierwsze w tych kilkunastu latach powojennej historii i następujące z zegarkową niemal punktualnością po pewnym okresie przebywania marksistów u władzy.

B. minister i przewodniczący komisji finansowej Izby Deputowanych, Malvy, na wiadomość o zarządzeniach gabinetu Bluma oświadczył: „Nie mogli znaleźć innego wyjścia z tego, a trzeba było działać szybko, jeżeli chce się ocalić te 50 miliardów złotem, które są nieodzownie koniecznie dla naszej obrony narodowej”.

Jakim sposobem do tego doszło? Przecież Blum oświadczył się z naciskiem i niejednokrotnie jako stanowczy przeciwnik dewaluacji, a tak samo pisali jego sprzymierzeńcy komuniści. Tym wydarzyła się nawet zabawna historia, bo oto w przeddzień ogłoszenia decyzji dewaluacyjnej organ ich *„L'Humanité”* grzmiał w następujący sposób: „Te dwie setki rodzin (mowa o oligarchii burżuazyjnej) oraz spekulanci przygotowują wyraźnie zamach na finanse frontu ludowego i jednocześnie nową manipulację monetarną, której koszty poniesie kraj pracujący. Nie potrzeba zapewniać, że nasza partia komunistyczna jest i będzie stanowczo przeciwna każdej operacji tego rozdzaju i żądać będzie najsurowszych środków przeciwko instygatorom podobnego zamachu.” — Na drugi dzień partia komunistyczna przestała być „stanowczo przeciwną i żądać najsurowszych środków”.

Ch. Maurras tak wyjaśnia załamanie polityki finansowej Bluma:

„Żydzi od giełdy i od Banku mają wiele zmysłu praktycznego, co nieraz przeszkadza dojrzeć, że mają mało zdrowego sensu. Gdy żyd nie jest bezpośrodnio zajęty sprawami małego, czy wielkiego handlu, jeżeli postawić go na płaszczyźnie duchowej odsłoniętego i nagiego, to łatwo sobie zdać sprawę z tego, że zdrowy sąd nie jest jego mocną stroną... Przypomnijcie sobie te hymny chwały i pychy intonowane (przez Bluma) jeden na część realizowania programu wyborczego, drugi o cudownych skutkach tej batalii słów. Przypomnijcie sobie te hymny o dobrobycie i obfitości, których narodzenie Blum widział jako skutek pomnożenia wydatków publicznych i prywatnych...' Ten człowiek kłamie dziewięć razy na dziesięć. Jestem przekonany o jego zupełnej szczerości, kiedy sobie wyobrażał, że będąc wybrańcem frontu ludowego w kraju, gdzie lud posiada i to posiada wiele, potrzebuje tylko zażądać, a jego żądania będą natychmiast pokryte z nadwyżką nie dwu czy trzykrotną, lecz dziesięć razy. Mizerne 4 miliardy, jakie z wielkim trudem otrzymał, sprawiły mu dotkliwy zawód. Liczył conajmniej na dwanaście, nie zdając sobie zupełnie sprawy z rzeczywistości... Ponieważ ten nieszczęsny chłopiec obiecywał rzeczy akurat odwrotne, niż to czego mógł dotrzymać, stałość monety, wypisana w jego programie, załamuje się, a pieniądz kauczukowy, może topniejący wkracza triumfalnie do jego Rady”...

Poważny dziennik *„L'Echo de Paris”* ogłasza oświadczenie p. Nicolle, sekretarza generalnego komitetu *„de Salut Economique”*, zaczynające się od słów: „Nie będę owijał w bawełnę. Operacja, której Leon Blum zamierza dokonać, jest oszustwem”, a kończy: „Czyż to nie jest oszustwo nakłonić drobnych ciułaczy do subskrybowania bonów z terminem rocznym, skromnie oprocentowanych, a w 48 godzin po zamknięciu supskrypcji obciąć wartość tej pożyczki o 33%”.

Tak się przedstawia ów wielki krok „na drodze do światowego pokoju monetarnego”, obrany z górnolotnych słów i oceniony przez bezpośrednich obserwatorów i zainteresowanych. A jednak sądząc z dotychczasowych sprawozdań z posiedzeń Izb i nastrojów kraju, ta *„escroquerie”* nie wywołuje silniejszego odruchu opinii, w której jak piszą, przeważa nastrój rezygnacji. Dlaczego? Czyżby Francuzi stracili swój temperament, który jeszcze tak niedawno, bo przed dziesięciu laty, za pierwszego załamania się franka popchnął tłumy paryskie pod Izbę i omal nie przyprawił ówczesnego premiera Herriota o kąpiel w Sekwanie (Być, może, wspomnienie tych przykrych chwili sprawia, że organ Herriota występuje dziś tak ostro przeciw dewaluacji Bluma).

We Francji niewątpliwie zmieniło się coś. Jeden z naszych przemysłowców po niedawnym pobycie w Paryżu opowiada zawiedzony, że we Francji nie rozumieją dobrze niebezpieczeństwa komunizmu, że nie działają a wyczekują. Jest ku temu walna przyczyna, mianowicie ta, że ideologia odporu nie jest jeszcze dostatecznie skrystalizowana. Dotychczasowe hasła obrony nie wystarczają. Gospodarka wielkokapitalistyczna wypaczyła proste dawniej zasady własności prywatnej, korrupcja parlamentarna zdyskredytowała rządy demokratyczne. W centrum przemożny wpływ wywiera rozrośnięta do niesłychanych granic biurokracja, oczywiście etatystyczna i idący za agitatorami komunistycznymi robotnik; wieś, z natury rzeczy będąca rezerwoarem stalszych, tradycyjnych prądów, nie dochodzi w całej pełni do głosu.

Francja jest niewątpliwie w niebezpiecznym okresie przejściowem i cała rzecz w tem, żeby na czas zdołała wyrobić i skrystalizować nowe ideje, zdolne stawić czoło komunistycznej zagładzie. Od tego zależeć będzie los nie tylko samej Francji. ARGUS

NA MARGINESIE

Do rzadkich wypadków cynizmu zaliczyć należy makabryczny żart sanacyjnego pisemka „Nowe Państwo Pracy”. Podało ono informację, że gen. Włodzimierz Zagórski żyje, a nawet podało adres jego paryski. Humor iście bolszewicki.

*

Zaczynamy się interesować konstytucją, jak stoją jej sprawy. „Robotnik“ pisze:

„Formalnie obowiązuje „nowy ustrój polityczny“, stworzony przez kierownictwo dawnego B. B. W. R. z p. Sławkiem na czele. W rzeczywistości ośrodkiem stał się gen. Edward Rydz-Śmigły, jako kierownik armii polskiej; do jego „dyspozycji“ oddają swe siły najrozmaitsze zrzeszenia, wierne do niedawna obozowi „sanacyjnemu“, a w szczególności B. B. W. R. Sejm i Senat, powołane według ordynacji wyborczej pp. Sławka, Cara i Podoskiego, nie grają żadnej roli istotnej w całokształcie spraw państwowych. Ktoś tam coś majstruje z „nowym obozem politycznym“, ale wszystko w najgłębszej tajemnicy“.

Organ zbliżony do rządu, „Kurier Poranny“:

„Te liczne rzesze, które przychodziły witać w przejeździe i po przybyciu do stolicy Naczelnego Wodza po powrocie z Francji, nie szukały w swych mózgach uzasadnień konstytucyjnych. Odnajdywały w zgodnym zbiorowym porywie autorytet moralny, którego czuły potrzebę, którego dokoła siebie szukały. Szukały Wodza, tak jak go mają inne narody“.

*

Autentyczna rozmowa, zasłyszana na Placu Teatralnym, w dniu odsłonięcia pomnika Bogusławskiego. Elegancka młoda dama zwraca się do nie mniej eleganckiego swego towarzysza:

— Czyj to pomnik? Słyszał pan co o takim?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Ktoś nieznany...

— Któż to, proszę pana, może być? Czem on się wsławił?

— Coś zaczynam sobie przypominać... To jakiś ksiądz... Napewno... Widzi pani zresztą jaki wygolony i jakie nosi duchowne szaty...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.